

DZISIAJ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 21 sierpnia 1955 r.

Nr 33 5071

ADA BORKOWSKA

Plon dwóch tygodni

KIEDY dwa tygodnie temu, w przededniu otwarcia Festiwalu, zebrał się siedmioosobowa delegacja katolików — aby porozmawiać o naszym udziale w Festiwalu, o przypadających każdemu z nas zadaniach, kiedy słuchaliśmy mądrzejszego już od nas doświadczenia bukareszteńskiego Nika Rostworowskiego — na pewno nikt z nas nie wyobrażał jeszcze sobie dokładnie, jak będzie wyglądał jego osobisty udział. Mieliśmy tylko wszyscy świadomość, że już nazajutrz wkroczyliśmy w coś bardzo wielkiego, co nas zagarnie, pochłonie, może nawet przytłoczy swym ogromem. I wszyscy chyba odczuwaliśmy w głębi duszy — zmieszany z uczuciem radości — lęk, czy zdołamy się w tym nieznanym sobie jeszcze żywiole odnaleźć, czy spełnimy swoją rolę, jak tylko będziemy mogli najlepiej. Czy nie zmarnujemy tej wielkiej i jedynej w swoim rodzaju okazji, jaka przed nami staje: okazji dawanania pełnego i rzetelnego świadectwa postawie ideologicznej katolików społecznie postępowych. Czy ustrzeżemy się przed zbyt biernym i „konsumpcyjnym” udziałem w tej niezwyklej imprezie, zapraszającej na każdym kroku do przyjemnościowego jedynie korzystania z niej.

Wrażenie przytłoczenia i zagubienia wywarł — przynajmniej na mnie — pierwszy dzień Festiwalu, uroczystość jego otwarcia. Kiedy wczesnym rankiem w wielotysięcznym kolorowym tłumie, słuchaliśmy padających z głośników nazw wszystkich biorących udział w defiladzie państw, nazw podawanych w kolejności wymarszu na Stadion Dziesięciolecia, nie wiedzieliśmy jeszcze, jak ułoży się nasze wspólne, dwutygodniowe życie, które rozpoczynał się w tym właśnie dniu. Kiedy przez jamę tunelu wkroczyliśmy na Stadion, kiedy znaleźliśmy się w olbrzymim, pod niebiosa sięgającym kręgu ludzi, poczuliśmy, że stajemy wszyscy razem wielką, ogromną, przytłaczającą jedność. Wyraziła się ona na razie we wspólnym, różnorodnym śpiewie, we wspólnym śledzeniu powiewających nad nami flag wszystkich narodów, we wspólnym zapatrzeniu się w tysiące ulatujących w niebo gołębi. Im to powierzyliśmy wszystkie swoje wole pokoju — przeogromną w swej sile wolę stu przeszło tysięcy ludzi — wolę przyjaźni i współpracy, a one uniosły ją w błękit, który wisiał wtedy nad nami jak wielka, rozświetlona flaga pokoju. Były to chwile niezapomniane, w których dokonano się rzeczywiście zniesienie wszelkich istniejących dotychczas granic, w których przestały istnieć wszelkie dzielące nas bariery.

Takie było pierwsze nasze wspólne zapoznanie. Opuszczając Stadion na pewno wielu z nas zastanawiało się, jakie też będzie w ciągu następnych dni jego miejsce w tym wielokolorowym, różnorodnym morzu ludzi, które zalało ulice Warszawy — rozświetlonego miasta pierwszego dnia Festiwalu.

Z tego zagubienia wydobyły nas już pierwsze godziny dnia następnego. Pierwsze spotkanie z dwudziestokilkusobową grupą katolików francuskich, którzy nas odwiedzili na Mokotowskiej, zapoczątkowało dwa tygodniowe rozmowy, dyskusji, spotkań grupowych i indywidualnych, dwa tygodnie wzajemnej wymiany myśli, pogłębiania przyjaźni, wzajemnego uczenia się i poznawania.

Kiedy po raz pierwszy pokładowaliśmy sobie ręce i wymialiśmy pierwsze „dzień dobry”, kiedy w czasie pierwszej trzygodzinnego rozmowy przyglądaliśmy się nieznanym

jeszcze twarzom, nie przypuszczaliśmy zapewne — ani my, ani oni — że wśród tej właśnie grupy są ludzie, których za dwa tygodnie, w dniu ich odjazdu, będziemy zęgnąć serdecznie, że będziemy im towarzyszyć do ostatniej chwili ich pobytu w Warszawie — nie dlatego, że nakażą to nam formy dobrego wychowania i uprzejmej gościnności, ale dlatego, że odejść będą nam najlepsimi, ukochanymi przyjaciółmi.

Ogromne tempo dwu tygodni festiwalowego życia nie pozostawiało czasu na powolne poznawanie się, zawarcie przyjazni dokonywało się szybko, bez wstępnego okresu nieufności i trochę wyczekującej obserwacji. Rozmowy toczyły się od razu wokół spraw najważniejszych, najgłębszych. Fakt, że znajdowaliśmy od razu wspólny język, że mimo istniejącej często różnicy zdań i poglądów, o co nam chodzi, że od pierwszych chwil znajomości wyczuwaliśmy nawzajem u siebie tę samą troskę o sprawy dla nas najistotniejsze — decydował o naszej przyjaźni. Każde następne spotkanie było jej umacnianiem, pogłębianiem, a spotkanie ostatnie — to na dworc — w gwarze i gorączkowym pośpiechu przedodjazdowym, ostatecznie ją przypieczętowało. Treścią naszych myśli, jakie wypieczętowały między sobą, już prawie bez słów czy też w strzępkach urwanych zdań, było to, że zostanie nasze nie pociągnie za sobą wzajemnego zapomnienia, że przeciwnie — zobowiąże nas do ciągłego pamiętania o sobie. Do pamiętania nie tylko w kategoriach uczuciowego przywiązania, sympatii, ale w kategoriach świadomej wiedzy o istnieniu na całym świecie młodych przyjaciół, którzy tak jak my są synami Kościoła i tak jak my walczą o jego obecność w nowym świecie. Znamy ich nazwiska, znamy adresy, wiemy dużo o ich pracy, o przekonaniach i dążeniach, pamiętamy ich twarze. Głębokie, zobowiązujące i mobilizujące jednocześnie są proste słowa, jakie mi napisał któregoś z ostatnich dni, Jeannot, i za które bardzo Ci dziękuję: „Ja wrócę do Francji. Ty pozostajesz w Polsce. Oboje jednak pracować będziemy nad tym, aby zapanowało na świecie Królestwo — Królestwo Chrystusa. Dlatego też zawsze będziemy złączeni w głębokiej, prawdziwej i szczerzej Modlitwie.” Pomagać nam też będą słowa, jakim dawałeś świadectwo całą swoją postawą, drogi przyjacielu z Wietnamu: „Łączą nas te same troski, ten sam ideał: pozostawiać wiernymi wszystkim i wszystkim, Chrystusowi Panu i wyznaczeniu ziemskiego życia. A czynić to namiętnie, o zarazem rozumnie, z pokorą, a zarazem odważnie.”

Pierwsze nasze spotkania — spotkania młodych katolików biorących udział w Festiwalu — miały charakter informacyjny. Gospodarze musieli odpowiadać na niekończące się pytania gości, począwszy od najbardziej wnikliwych i głębokich, a skończywszy na niedorzecznych, zasugerowanych nieograniczoną w swej inwencji propagandą antykomunistyczną na Zachodzie. Dalsze spotkania i rozmowy stawały się coraz pełniejszą, o arty o rzeczową znajomość faktów — dyskusją. Treścią tych dyskusji była społeczna funkcja działalności chrześcijan żyjących w nowym świecie, w świecie rewolucji społecznej i ekonomicznej — zarówno tam, gdzie ta rewolucja już się dokonała, jak i tam, gdzie jeszcze dokonać się nie mogła. Najbardziej żywą ich treścią było zagadnienie obecności ludzi wierzących wszędzie tam, gdzie obecny jest człowiek, zagadnienie ich udziału w wszystkim ludzkim sprawom. Każdy wzbogacił dyskusję o

inne elementy, wnosząc różne przemyślenia będące wynikiem bogactwa doświadczeń i różnorodności warunków, w jakich kształtuje się jego katolickie życie. Dlatego nasze dyskusje, które toczyliśmy na Mokotowskiej czy na terenie Akademii Teologii na Bielanych, przybierały często formę długich monologów z naszej strony. My bowiem byliśmy tymi, którzy mogli podzielić się największą ilością doświadczeń wynikających z faktu współpracy katolików i materialistów filozoficznych w obozie rewolucji społecznej i ekonomicznej, my byliśmy naczynym i namacalnym przykładem praktycznej realizacji tej współpracy. Staraliśmy się w sposób jak najpełniejszy przedstawić dwa światopoglądy: materialistyczny i spirytualistyczny, które walczą o propagowanie swoich tez. Mówiliśmy o wynikających stąd trudnościach, na istnienie których nigdy nie zamykaliśmy oczu, i które staraliśmy się w całej pełni uświadomić. Przekonywaliśmy ich, że mamy możliwość współistnienia i współpracy nie dlatego, że obudnie zastaniemy przed sobą nawzajem różnice światopoglądowe, że obieramy drogę taktycznego ich maskowania, że — aby posłużyć się wulgarnym porównaniem — chowamy w kieszeń to, co w danej chwili niewygodne; mamy też możliwość dlatego, że spotykamy się na płaszczyźnie podobnie rozumianego dobra doczesnego człowieka, jednakowo pojmowanego dobra narodowego i społecznego. Nie współpracujemy na zasadzie oportunistów czy niewiedzenia trudności: zarówno na zewnątrz, jak i na wewnątrz, chcemy walczyć z bezkonfliktowością, z postawą bezideowego obierania drogi łatwiny życiowej. Atmosferę uczciwej walki o własne przekonania światopoglądowe uważamy za atmosferę pozytywną, jeżeli tylko w konsekwencji nie demobilizuje ona do pracy nad odbudową i rozbudową wspólnego domu — Polski.

Mamy przekonanie, że wzajemna, bezkompromisowa konfrontacja dwu światopoglądów przyczyni się do okrzepnięcia naszej wiary, że umożliwi jej zdobywanie coraz to nowych argumentów intelektualnych. Spotykaliśmy się z wyrazami obawy o losy wiary w Polsce, którą wyprze światopogląd materialistyczny. Spotykaliśmy się też ze stanowiskiem, że dużo większe niebezpieczeństwo grozi wierze w atmosferze bezwładu ideowego, w atmosferze obojętności, martwoży, zniechęcenia na wszystkie te sprawy, których się nie da pomyśleć w kategoriach wartości monetarnych,

których się nie da zmierzyć, zwążyć, sprzedać. Z tym drugim stanowiskiem byliśmy zgodni. Tragiczną lekcją poglądową był tu dla nas, wszystkich katolików zebranych w dniu 11 sierpnia na spotkaniu na Bielanych, głos młodego przedstawiciela Gwadelupy, który w imieniu swoich czarnych braci, zwrócił się do katolików francuskich z prośbą o to, aby oni zechcieli im pokazać, czym jest właściwie wiara, aby ich nauczyli prawdziwej wiary. Nie mogą bowiem tego żądać od swego Kościoła, który w najmniejszym stopniu zajmuje się krzewieniem wiary, a przede wszystkim służy polityce — i to wstecznej, reakcyjnej polityce dyskryminacji rasowej — który toleruje osobne lawki dla białych i czarnych. Nikt z nas chyba się nie spodziewał, czarny przyjacielu z Gwadelupy, że dane nam będzie przeżyć w tym dniu tak kosztowne w swojej istocie wzruszenie. Twoje słowa, które nas wtedy dawały za gardło, nie zostaną zapomniane. Skierowałeś je specjalnie do Francuzów, ale wiedzą, że zapadły one głęboko we wszystkie sumienia katolickie. Pokazałeś nam wszystkim, jak bardzo potrzebne jest świadectwo żywej wiary w świecie, jak o-



Członkowie delegacji katolików polskich na Festiwal wraz z katolikami Belgii, Francji, Włoch i Wietnamu — na Jasnej Górze.

gromnym grzechem jest każde nasze najmniejsze zaniedbanie, świadome czy nieświadome. Aby uniknąć zaniedbań nawet nieświadomych, musimy stale poszerzać swoją wiedzę, aby jak najlepiej wiedzieć o potrzebach innych ludzi, aby jak najskuteczniej móc te potrzeby zaspokajać.

To, cośmy z tych rozmów festiwalowych wynieśli, co przeważało się we wszystkich prawie w tej lub innej postaci, można by ująć najogólniej w formie dwu postulatów.

Postulat „na zewnątrz” — udział świadomych swojej wiary chrześcijan we wszystkim, co jest realizacją słusznej sprawy, sprawy będącej dobrem człowieka, każdego człowieka na ziemi.

Postulat „na wewnątrz” — budowanie i pogłębianie swojego katolicyzmu, życie w Chrystusie i z Chrystusem, życie w Kościele, trzeźwienie wszystkiego, co jest zanieczyszczeniem wiary, co jest wypaczającą ją naleciałością. Musimy dążyć do tego, aby pełne świadectwo naszej wierze dawały nasze uczynki, aby obrazu tej wiary nie trzeba było prostować i uzupełniać słowami.

Jeżeli chcemy przystąpić do współpracy z ludźmi o innym światopoglądzie, jeżeli chcemy wejść w

środkowisko, które nas nie zna czy nawet jest nam z jakimś względem wrogiem, nie możemy tego robić przyklejając sobie „na wyrzut” etykietę katolicyzmu. Nie możemy mówić — „Pomagam ci bracie, bo jestem katolikiem; chcę ci czynić dobrze, bo jestem katolikiem.” Nie zamykamy od nikogo, aby nas dopuszczal do współpracy ze sobą czy przyjmował z otwartymi ramionami tylko dlatego, że pokazaliśmy mu tę etykietę. Możemy domagać się uznania naszej dystynkcji światopoglądowej nie wtedy, gdy ją uroczysto, z piedestału ogłosimy, ale wtedy dopiero, gdy wykażemy jej walory w konkretnej — nie słownej, ale czynnym wymownej — pracy.

Wspólnym dla nas wszystkich głosem było wołanie o obecność Kościoła — jako wspólnoty wiernych — w nowym żyjącym świecie. Jako świadomi katolicy, dążyć będziemy konsekwentnie do realizacji tego, czego konieczność wszyscy rozumiemy — wszyscy oczywiście w inny sposób.

Przed innymi problemami stoimy my w Polsce, przed innymi wy w Francji czy w Belgii, przed innymi nasi przyjaciele w Wietnamie czy w Senegalu. A ponieważ wszyscy się znamy, problem wzajemnej pomocy będzie problemem rozwiązalnym.

Kiedy w dniu zakończenia Festiwalu spędzaliśmy z Zosią Lichniakową ostatnie godziny wśród naszych przyjaciół, Pierre-Louis powiedział nam: — No, to od jutra zaczynacie już normalne życie. Nie będzie ono tym samym normalnym życiem, jakie więdliśmy do czasu Festiwalu. Będzie bogatsze o to wszystko, co dała nam znajomość z wami wszystkimi: z tobą, Pierre-Louis, z tobą André, René, Suzette, z tobą, Nguyen-van-Trung, skosnooki przyjacielu, i z tobą, czarnoskóra Anno z Senegalu — z wami wszystkimi, których imiona i twarze mocno wyrzyły się w naszej pamięci. Życie, jakie zaczniemy teraz, postaramy się uczynić intensywniejszym, owocniejszym. Postaramy się usunąć zeń to wszystko, na co wy zwróciliście nam uwagę jako na słabość, i zrealizować w nim to, co wspólnie uznaliśmy za najważniejsze. Praca, jaką rozpoczęliśmy razem w czasie Festiwalu będzie naszym wspólnym zadaniem na całe przyszłe życie. —

Ada Borkowska

SPOTKANIE CZŁONKÓW PREZYDIUM OGÓLNOPOLSKIEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO Z CZŁOŁOWYMI KATOLICKIMI DZIAŁACZAMI FRONTU NARODOWEGO

DNIA 13 bm. odbyło się w Belwederze spotkanie członków Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego z człołowymi katolickimi działaczami Frontu Narodowego.

Na spotkanie przybyli: Bolesław Bierut, Aleksander Zawadzki, Franciszek Mazur, Edward Ochab, Władysław Matwin i Jerzy Morawski.

W nacechowanych wzajemną szczerością rozmowach omówiono szereg istotnych zagadnień związanych z dalszym zacieśnieniem konstruktywnej współpracy w ramach Frontu Narodowego.

Przewodniczący Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, Bolesław Bierut, podkreślił, że sukcesy

odbywającej się w atmosferze wzajemnego zaufania współpracy postępowych katolików ze wszystkimi grupami społecznymi w ramach Frontu Narodowego stały się możliwe dzięki szlachetnemu stanowisku państwa demokracji ludowej wobec zagadnienia stosunków między Kościołem i Państwem i swobody życia religijnego.

Na zakończenie spotkania, które odbyło się w serdecznej atmosferze Bolesław Bierut życzył uczestnikom dalszego pogłębiania współpracy wszystkich sił Frontu Narodowego dla dobra narodu polskiego, dla dalszych postępów w walce o pokój.

o pokój.

PO ZJEDNOCZENIU

NASTAPIŁO ostateczne i pełne zjednoczenie ruchu społecznie postępowego katolików w ramach Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Prezydium Krajowej Komisji zabiegało już od kilku miesięcy o ostateczne zjednoczenie. Obecnie zabiegi te zostały uwieńczone sukcesem. Warto zastanowić się, dlaczego nastąpiło to teraz i jakie są kierunkowe dalszego rozwoju ideowo-politycznego ruchu społecznie postępowego.

Zasadniczym zagadnieniem zjednoczenia była konieczność, by nastąpiło ono organicznie, a nie mechanicznie. Przed dwoma laty, jesienią 1953 roku, w okresie niezwykle poważnych wydarzeń na odcinku stosunków między Kościołem a państwem, powstała Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego, skupiająca działaczy Komisji Intelektualistów, Komisji Księżej i Stowarzyszenia Pax. Już wówczas było rzeczą jasną, że ostateczne zjednoczenie ruchu jest tylko kwestią czasu. Chodziło natomiast o to, by odbyło się ono w sposób, który przyniesie umocnienie i poszerzenie ruchu. W okresie ubiegłych dwóch lat Komisja Frontu Narodowego miała poważne sukcesy. Już pierwsze zebrania wojewódzkie po jej powstaniu zgromadziły ponad 4000 księży. Był to wielki sukces, jeśli zważy się, że jesienią 1953 roku był to trudnym okresem z punktu widzenia walki o linię dwustronnego porozumienia w stosunkach między Kościołem a państwem. Te początkowe sukcesy zostały w pełni wykorzystane w dalszej pracy. W ciągu dwu lat odbyły się setki zebrań międzykatedralnych, powiatowych, wojewódzkich i krajowych, w których umacniano stan posiadania społecznego Komisji. Wypracowano nowe formy pracy, ukształtowała się przejrzysta struktura wewnętrzna ruchu przez działalność trzech sekcji na szczeblu wojewódzkim: ideowo-

wo-kulturalnej, rolniczej i organizacyjnej. Na szczeblu Komisji Krajowej rozwinęły pracę tzw. sekcje koncepcyjne, których zadaniem polega przede wszystkim na wypracowaniu podstaw przemiany poszczególnych instytucji katolickich w duchu społecznie postępowym.

Omawiany okres przyniósł także, co wydaje się najważniejsze, określone procesy ideologiczne wewnątrz samego ruchu. Z jednej strony ruch poszerzał się stale i istniała ciągła potrzeba oddziaływania ideowego przez upowszechnianie jego założeń ideowych. Z drugiej, trwała praca teoretyczna i odbywał się proces coraz większego uideowienia wewnątrz samego ruchu. Szczególnie okres ostatnich kilku miesięcy był poświęcony walce samych księży w ruchu o sylwetkę kapłana społecznie postępowego. Na czym ma polegać owa sylwetka, ów ideał wychowawczy kapłana społecznie postępowego? Przede wszystkim na głęboko przeżytej ideowości, tak w odniesieniu do konsekwencji światopoglądu katolickiego, jak też do konsekwencji społecznie postępowej, socjalistycznej postawy. Chodziło szczególnie o dwie rzeczy. Po pierwsze, żeby ksiądz społecznie postępowy wspierał ustrój socjalistyczny i państwo ludowe z ideowości przeżytej intelektualnie, słowem z przekonania, a nie był tylko przedłużeniem działania aparatu wyznaniowego i administracyjnego ze względów oportunistycznych. Po drugie, by ksiądz społecznie postępowy widział wagę stawiania zadań światopoglądowych w warunkach państwa ludowego, dążącego do socjalizmu. Prowadzona w tych dwóch kierunkach walka o ideowość kapłana społecznie postępowego, walka przeciw oportunizmowi i deklaratywizmowi w ruchu, przysporzyła naszym Komisjom dużo autoryte-

tu w terenie i uznania w kołach intelektualnych.

TRZY elementy w sposób pośredni wpłynęły na możliwość późnego i ostatecznego zjednoczenia właśnie w chwili obecnej. Pierwszy z nich polegał na tym, że większość księży z Komisji Księżej przy ZBoWiD zrozumiała słuszność i konieczność zjednoczenia przez rozwiązanie Komisji Księżej i włączenie jej aktywistów i członków do Komisji Frontu Narodowego. W okresie, kiedy cały ruch społecznie postępowy posiadał już jedną sprecyzowaną ideologię, jeden teren i zakres działania, utrzymywanie dwutorowości organizacyjnej byłoby na dłuższą rękę absurdem, który mógł być na czas tylko ludziom przekładającym nad dobro i rozwój ruchu jakieś małe, własne egoistyczne interesy czy sentymenty. Toteż stworzono głównie przez powstanie sekcji organizacyjnych platformę wykorzystania aktywnych działaczy z Komisji Księżej i w ten sposób wszystko to, co było w dorobku tej organizacji prawdziwą wartością, zostało włączone do Komisji Frontu Narodowego, dla dobra całego ruchu. W ten sposób zjednoczenie nastąpiło organicznie, a nie mechanicznie, dając wszystkim aktywistom K K ZBoWiD możliwość dalszej pracy w ruchu na nowym jego etapie.

Drugi, zasadniczy dla zjednoczenia element ideowo-polityczny polegał na wytworzeniu się coraz lepszych form współpracy między duchownymi i świeckimi działaczami katolickimi ruchu. Te coraz lepsze formy współpracy polegają na wzajemnym koordynowaniu metod pracy, na właściwym jej podziale i w ten sposób poprzez bezpośredni wkład i doświadczenia żywych ludzi ruch społecznie postępowy zyskuje coraz większą ilość wrobitów, zdolnych do samodzielnej pracy ideowo - politycznej duchownych i świeckich aktywistów.

Wreszcie na możliwość zjednoczenia wpłynęły jeszcze trzeci, niezwykle ważny element ideowo-polityczny. Chodzi tu o powiązanie ruchu społecznie postępowego katolików z ogólnopolskim Frontem Narodowym, szczególnie na szczeblu wojewódzkim. Ruch społecznie postępowy katolików, kierując się w sprawach społeczno-ideowych znajomością praw rozwoju społecznego i potrzeb rewolucji socjalistycznej, znajomością drogi i metod budownictwa socjalistycznego, stoi na stanowisku przodującej i kierowniczej roli partii klasy robotniczej w życiu ogólnonarodowym. Socjalizm w zakresie społeczno - gospodarczym, wyznawany jako zasadniczy składnik ideologii naszego ruchu, może być i jest budowany pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej partii. Partia klasy robotniczej jest także przodującą i kierowniczą siłą najszerszej platformy ideowo-politycznej całego społeczeństwa Frontu Narodowego. Ślad bezpośredni kontakt i współpraca Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przede wszystkim na szczeblu wojewódzkim, z odpowiednimi Komitetami Frontu Narodowego i przedstawicielami państwa ludowego posiada zasadnicze znaczenie ideowo - polityczne. Osiągnięcia w zakresie wypracowywania coraz lepszej współpracy, między terenowymi ogniwami ruchu społecznie postępowego katolików a Komitetami Frontu Narodowego właściwych szczebli, uczyniły sprawę zjednoczenia realną i potrzebną. W ten sposób ruch społecznie postępowy spontaniczny i ideowy w ramach ogólnopolskiego Frontu Narodowego, będąc jego organiczną częścią, daje gwarancję, że będzie prowadził swe prace w kierunkach wytyczonych drogą całego narodu, realizując jednocześnie postulaty i obowiązki, wynikające ze światopoglądu katolickiego.

Omówione trzy elementy złożyły się przede wszystkim na to, że zjednoczenie ruchu stało się potrzebne i konieczne już od pewnego czaje-

su. Doceniając wagę tego zagadnienia prezydium Komisji Krajowej Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich zabiegało o zjednoczenie. Wysiłki te zostały uwieńczone powodzeniem - dosłownie na kilka dni przed uroczystościami Jędrzejowskiego Polskiego Ludowego. Ponieważ istnieje wiele domysłów i plotek, które dopatrują się w zjednoczeniu jakichś specjalnych przyczyn politycznych, warto podkreślić, że zjednoczenie było wynikiem nie jakichkolwiek ubocznych względów, lecz wewnętrznej dojrzałości ruchu społecznie postępowego, dojrzałości, wyrażającej się przede wszystkim trzema wyżej omówionymi elementami rozwoju ideowo - politycznego.

RZEC' prosta, zjednoczenie nie- pomniejszenie wzmocniło siły i znaczenie ruchu społecznie postępowego. Wzmocniło jego odporność na ataki kół społecznie-konserwatywnych. Koła te posługiwały się dotychczas praktyką wygrywania jednej części ruchu przeciwko drugiej, jednych księży przeciwko innym, o różnym rodowodzie politycznym. Wygrywano także z pozycji reakcyjnych księży przeciwko świeckim działaczom katolickim. Praktyki te w obliczu zjednoczenia tracą jakikolwiek punkt znaczenia.

Jednakże główne, podstawowe znaczenie zjednoczenia ruchu społecznie postępowego będzie polegało na jego poszerzeniu. Zjednoczony ruch, opierając się o postawę ideowości zyska dostęp do wielu kół duchowieństwa i świeckich, które stawały na próbę neutralności i przeczekania. Po zjednoczeniu koła te widzą siłę i perspektywę ideowo-polityczną ruchu. W tych warunkach coraz realniejszy staje się postulat organizacyjny Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich, dotarcia z oddziaływaniem ideowym jeszcze w bieżącym roku do każdej parafii polskiej i do wszystkich księży. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że minie jeszcze pewien okres, zanim w naszym ruchu znajdzie się w sposób czynny zaangażowana większość duchowieństwa polskiego, ale dotarcie już w bieżącym roku do wszystkich księży z pierwszymi kontaktami ideowymi będzie zasadniczym krokiem w kierunku upowszechnienia ruchu społecznie postępowego.

Jak już powiedzieliśmy, zjednoczenie podnieśliśmy autorytet i zwielokrotniły oddziaływanie naszego ruchu. Wpłyne dodatkowo na realizowanie katolickich postulatów światopoglądowych, na rozwój kultury katolickiej w Polsce i perspektywy światopoglądu chrześcijańskiego w warunkach nowego porządku społecznego. W miarę coraz powszechniejszej przemiany świadomości ideowo - politycznej duchowieństwa i świeckich w kierunku pełnego patriotyzmu wobec Ludowej Ojczyzny i aprobaty jej ustroju społeczno - gospodarczego, będą rosły możliwości ruchu w zakresie służenia Kościołowi i kulturze katolickiej. Wkład w budownictwo socjalistyczne, w wyniku odrodzenia postępowej funkcji społecznej katolicyzmu, dzięki inspirowaniu ideowej światopoglądu katolickiego musi spowodować w konsekwencji coraz większe możliwości dla światopoglądu katolickiego w nowych warunkach społecznych. Coraz większy wkład ludzi wierzących w dzieło budowy nowego ustroju i dobrobytu oraz rozwoju kultury narodu przybliży stopniowo realizację udziału w aktywnej rewolucji także ludzi wyznających religię chrześcijańską. Cała ta sprawa jest poważna i skomplikowana, należy do niej podchodzić z dojrzałością. Rewolucja jest dokonywana i kierowana przez materialistów filozoficznych. Kościół stracił posiadaną ongiś pozycję uprzywilejowaną. Warunków rozwojowych dla światopoglądu katolickiego nie osiągnie się drogą negacji słusznych przemian społecznych, lecz drogą zaprzeczenia tych przemian przez ludzi wierzących. Zjednoczony ruch społecznie postępowy będzie pomagał w skutecznym doprowadzeniu przemian społecznych do końca oraz będzie zabiegał o możliwość rozwoju dla światopoglądu katolickiego.

ANALIZA znaczenia i skutków zjednoczenia w żadnym wypadku nie byłaby pełna, gdyby pominięte zostało omówione zagadnienie wpływu zjednoczenia na rolę ruchu w stosunkach między Kościołem a państwem. Ruch społecznie postępowy w szczególności sposób był i jest związany ze sprawą Porozumienia. Był on zawsze głosem oddolnej opinii, bazą społeczną linii dwustronnego porozumienia Kościoła i państwa. Linia ta jest dla naszego ruchu stałym zadaniem. Stoimy na stanowisku, że można jeszcze wiele uczynić, by polski model stosunków Kościół-państwo znowu stał się atrakcyjny i przekonywujący dla katolików na Zachodzie, jak to było bezpośrednio po zawarciu Porozumienia i niejednokrotnie w późniejszym okresie.

Pantający w tej chwili spokój i pewna bezproblemowość na odcinku Kościół-państwo nie powinna nikogo ludzi i powodować utraty z oczu tego odcinka tak ważnego dla sensu działalności całego naszego ruchu. Rozwój sytuacji międzynarodowej, wydarzenia wewnętrzne - polityczne, fakty dnia codziennego z wszelką pewnością sprawią, że stosunki Kościół-państwo będą obfitowały w żywą problematykę. Ciągłe przemiany ogólne nie omijają tej dziedziny. Zjednoczony ruch społecznie postępowy będzie miał niewątpliwie większy niż dotychczas wpływ na kształtowanie się stosunków Kościół-państwowych podług dwustronnego porozumienia, na społecznie postępową przemianę wszystkich instytucji katolickich, na uzyskiwanie dobrych warunków pracy instytucji katolickich, na rozwiązywanie wreszcie takich trudnych zagadnień jak nauczanie religii poza szkołą, czy atmosfera wychowania w seminariach. Wszystkie te zagadnienia we wzajemnym powiązaniu łączą się ze sprawą powszechnie postępowej przemiany świadomości ideowo-politycznej duchowieństwa i działaczy świeckich w ramach ruchu społecznie postępowego. Jeśli przemiana ta będzie w dalszym ciągu szybko następowała - linia dwustronnego porozumienia będzie zapewniona, a w pewnym zakresie da się odrobic to wszystko, co trzeba było zapisać na stratę w okresie dramatycznych spięć w stosunkach między Kościołem a państwem. Sedno problemu polega na tym, aby polski model stosunków Kościół-państwo czynił przekonywującym dla katolików w innych krajach. Będzie się to działo dla dobra Kościoła, będzie się to działo także z sukcesami w zdobywaniu katolików dla sprawy pokoju i postępu społecznego w różnych krajach. Im lepiej będą kształtowały się stosunki między Episkopatem a Rządem ludowym, tym większe będzie entuzjazm w pracy ludzi wierzących i ich oddanie dla budowy nowego porządku społecznego.

Zjednoczenie naszego ruchu jest więc słuszne tak ze względu na jego wewnętrzny rozwój, jak i ogólny wpływ i pozytywną rolę. Zjednoczenie, jednolite kierowanie ruchem, jego ideowy spontaniczny charakter zapewni mu wielki skok rozwojowy, zwielokrotni siły i przydatność społeczną. Przydatność ta jest w tej chwili niezwykle poważnym problemem. Wszliśmy w długi i niezwykle pasjonujący okres rokowań. Radziecka polityka najszerszej inicjatywy międzynarodowej przyniosła już pierwsze owoce w postaci stworzenia możliwości dalszych nieograniczonych rokowań. W tej sytuacji także nasz naród powinien wykazywać zwiększoną aktywność ideowo - polityczną. Ważne zadania na tym odcinku przypadają katolikowi społecznie postępowemu. Z jednej strony wyrażają się one w poparciu pokojowej polityki wewnętrznej i zagranicznej rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z drugiej strony zadania te polegają na oddziaływaniu na ludzi wierzących za granicą, aby wsparli oni aktywne siły pokoju dla dobra i perspektyw rozwojowych światopoglądu religijnego, oraz dla ratowania ludzkości przed groźbą nowej wojny i atomowej zagłady cywilizacji.

Ruch społecznie postępowy katolików w stosunku do tych wszystkich celów stosuje różne formy pracy i oddziaływania w kraju i za granicą. Ruch nasz jest pełnym swego ostatecznego zwycięstwa w świadomości społeczeństw katolickich, ponieważ jego linia ideowa jest czysta i konsekwentna. Katolicka ortodoksyjność ruchu, jego wyraźna postawa posłuszeństwa władzy duchownej w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej przekonują do niego tych wszystkich, którzy kierują się rzeczywistymi wartościami katolickimi, a nie chęcią nadużywania religii dla celów politycznych.

Wyraźna społecznie postępową linia naszego ruchu w sprawach ideowo-politycznych zapewni mu autorytet i znaczenie w obszarze socjalistycznym. Oczywiście, wszystko to zależy od dalszej roztropności i dojrzałości ruchu, od bezkompromisowych wysiłków jego działaczy.

Andrzej Micewski



rys. Krystyna Maślanka

ROZMAWIALISMY już przeszło godzinę, a nadal wydawało się, że nie „przerzucił” nawet połowy kwestii, nad którymi warto by się zastanowić. Było nas trzech: wysoki, chudy Francuz w wieku lat dwudziestu, student szkoły dziennikarskiej z Lille, młody poeta, Polak oraz niższy podpisany. Zajmowały nas sprawy zarówno bardzo ogólne, jak i szczegółowe. Poprzez analizę dróg, jakimi świat zdąży w przyszłość, staraliśmy się określić miejsce i rolę katolików, jaką mają do spełnienia w teraźniejszości historycznej. I natychmiast uwagę naszą skierowaliśmy w kierunku młodzieży, w kierunku tych pokoleń, w których konflikty, rozdarcia ideowe i kłeski moralne starszych generacji odbiły się najciężiej. Młodzież okazała się wyjątkowo czułym kamertonem i procesy wewnętrzne, kryzysy sumienia lub poglądu na świat, które u ludzi starszych przebiegają w ukryciu, w własny rachunek, tutaj otrzymują natychmiast postać zjawiska społecznego, masowego. W dziesięć lat po zakończeniu wojny, w chwili gdy przysze oblicze świata krystalizuje się coraz wyraźniej - młodzież, jak się wydaje, stanowi „warstwę” ludzi najbardziej zmierzplonych, najgwałtowniej poszukujących stałego punktu oparcia.

Nie wiem, jak sytuacja przedstawia się w innych krajach - powiedział Francis - ale część młodzieży francuskiej, inteligentnej, drobnoniezbawskiej, a częściowo tylko robotniczej, jest chora. Kryzys, jaki przeżywają, jest chyba kryzysem celu życia i na daleko głębsze źródła, niż to ukazał André Cayatte w „Przed potopem”.

Sądzę - powiedziałem - że podobnie ta sprawa przedstawia się w Ameryce, gdzie przestępczość wśród młodzieży wzrasta z roku na rok. Ucieczka na stronę „egzotyki gangsterskiej” jest jakimś zapelnieniem realnie lub instynktownie odczuwanej pustki, pustki, której żadna, najwyżej nawet stojąca cywilizacja materialna nie zapelni.

wnętrności”. Organizacja życia pochłania to, co jest niejako treścią życia, a jaskrawym przykładem tego zjawiska staje się współczesna Ameryka. Człowiek, cząstka działającego z zawrotną szybkością mechanizmu, ztraca wolną cechy indywidualne, to mechanizm za niego decyduje, tworzy jego „filozofię” i „moralność”. Oczywiście, we Francji owa „dyktatura materii”, jej

KONRAD EBERHARDT

Spotkania

zyciostwo nad duchową stroną człowieka, wygląda inaczej...

Jak to zjawisko wygląda w sferach intelektualnych - wystraszająco sugestywnie ukazała Simone de Beauvoir w swoich „Mandarynach”. Potomkowie ludzi, którzy niegdys' całą swoją energię tworczą poświęcili na to, aby oczyścić życie z „presądów”, „mitów” i tych elementów, których istnienie nie daje się usprawiedliwić w pierwszej instancji - stanęli sami wobec próżni. Świat pojęty „jednoznacznie” objawił swe karykaturalne oblicze. Wiele cech tego smutnego wizerunku zachowała filozofia egzystencjalistów. Kryzys wewnętrzny warstw „niższych”, inteligencji, mieszczaństwa, przyspieszył, oczywiście, ukształtowanie się sytuacji politycznej, nadszanie legendarnej potopy w postaci bomby atomowej z jednej strony, a „groźby” komunizmu z drugiej strony. Ludzie ci wyczuili nagle, że przed nimi dwoma niebezpieczeństwami nie ma „materialnej” obrony, nie wystarczy wybudować mocny schron lub uzbudować armię, że te sprawy decydują się daleko głębiej, lub wyżej.

Triumf materii nad człowiekiem, to zdaje się istota niebezpieczeństwa - powiedział poeta. - Człowiek jest przecież tylko wtedy „kimś”, kiedy odnajdzie sam siebie, kiedy potrafi określić swoje miejsce „pod niebem”. Jeśli jest

tylko „określony”, jeśli mechanika życia decyduje za niego, wówczas jego samotność jest wynikiem zagubienia w świecie...

Czy widzieliście - zapytałem - amerykański film „Mały uciekinier”? Wspaniały „opis filozoficzny” nowojorskiej dzielnicy rozrywkowej Conney Island. Ogromne miasto karuzeli, huśtawek, kolejek, wieży spadochronowych, bezce-

o Zachodzie, przyjechałem właśnie do kraju...

W którym również istnieje problem młodzieży i to nie byle jaki...

Nie tylko. W którym walka o nowy ustrój społeczny, o zaspokojenie potrzeb ludności, o przemianę gospodarczą przesłania człowiekowi „z zewnątrz” problemy etyki wychowawczej czy filozoficzne. Ale nie samym chlebem człowiek żyje. Czy w walce o te cele człowiek może odnaleźć pełnię swej osobowości?

Naradziliśmy się przez chwilę, gdyż pytanie zaskoczyło nas nieco. Trudno wnikać w umysł człowieka, który nas widzi z odległości blisko dwóch tysięcy kilometrów...

Wysiłki w dziedzinie ekonomicznej, o których mówiłeś - powiedziałem - nie stanowią programu autonomicznego same dla siebie. Istnieje przecież moralna, humanistyczna zaplecie dokonywających się u nas przemian. Zwróć także uwagę na toczony w Polsce dialog światopoglądowy. Wierzymy, że socjalizm potrafi wychować człowieka i wpoić w niego zasady życia i tutaj także widzę współczesną rolę katolików, rolę chrześcijańskiego spirytualizmu i chrześcijańskiej etyki, zobowiązującej do społecznej odpowiedzialności. Dynamika problematyki światopoglądowej, konfrontacja odmiennych ale wyraźnych postaw sprawia, że człowiek musi o sobie najpierw zdecydować wewnętrznie, zanim zdyka okoliczności itp. zacząć wydawać swe decyzje. Młodzież poddająca się cynicznemu poglądowi, to ta znajdująca się na drodze...

Kto wie - zastanowił się poeta - może wyrostki wybijający zryby, wykrzykujący wyzwiska i dopuszczający się tych czy owych przestępstw, wyrażają w ten sposób swój żal do współczesnego świata za to, że właśnie porę ich niedojrzałości wybrał na wielkie przeobrażenia i rewolucję...

Był może - zgodził się Francis - u nasza młodzież przechodzi nieco inne konflikty, niż nasza, ale niepokój, jaki ją draży, jest zjawiskiem zrozumiałym i nam wszystkim wspólnym. Z tego niepokój wyraża właśnie przyszłość świata.

Konrad Eberhardt

Redaguje Zespół Prenumerata miesięczna 4 zł kwartalna 12 zł. Adres: Redakcja i Administracja Mokotowska 43. tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przysyłają wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakład Drukarski i Wsklepi Drukarski w Warszawie, ul. Marszałkowska 115. Zam nr 1768. B-6-11109



Dnia 22.8.1955 r. upływa 11-ta rocznica śmierci Włodzimierza Pietrzaka.

Od kilku — może trzech, może czterech — lat pogłębiona troska o depozyt ideowo-artystyczny dwudziestolecia znajduje u nas swój coraz konkretniejszy i coraz pełniejszy wyraz. Coraz częściej trafiają do nas książki słusznie ocenione od zapomnienia, coraz częściej ma okazję przemawiać do czytelnika nowej literatury twórcy, z którym ten czytelnik nie we wszystkim się zgodzi, którego — bogatszy doświadczeniem przełomu rewolucyjnego — nie we wszystkim posłucha, ale któremu — nawet nie podziwiając całości jego przekonań o świecie i człowieku — wdzięczny będzie za odkrywcze wzruszenie, za ukazaną w nowy, nieznan mu przedtem sposób, myśl. Nie rezygnując z ostrości ideologicznego widzenia nowej rzeczywistości, nie cofając się ani na krok ze zdobyczy przez rewolucję pozycji, a przeciwnie, ciągle zgodnie z jej dynamiką dążąc naprzód — potrafiono poszerzyć pole widzenia, pogłębić możliwości poznawcze, wysubtelnić kryteria ocen także i w zakresie literatury dwudziestolecia międzywojennego.

Z tej mądrej przemiany, świadczącej o ciągłym dojrzewaniu rewolucji kulturalnej obozu socjalistycznego, skorzystało i korzysta wielu pisarzy, którzy — współuczestnicząc czynnie w naszym życiu — mają okazję, w oparciu o poszerzoną zasadę rewindykowania wartości ideowo-artystycznych dwudziestolecia, upominać się o zmarłych twórcach, o nowe życie utworów, na które zbyt szybko wydano wyrok śmierci przez przemilczenie. Sporo w tym zakresie odrobiono, sporo jest jeszcze do odrobienia.

Ale najważniejsza w tym zakresie jest sprawa tych, którym nie dane było dożyć naszych dni. Oni się sami nie upomną. Przeciwnie nim i ich dziełom może się obrócić zasada stwierdzająca brutalnie, że nieobecni nie mają racji. Przeciwnie nim obrócono w wielu wypadkach chytrze w tym sensie przeinaczoną zasadę, że o nieobecnych nie należy mówić. A przecież mówić trzeba. A przecież oni są obecni. Nie tylko w pozólkich listach i po-

śmiertnej miłości najbliższych. Nie tylko we wspomnieniach przyjaciół. Ale także — jeśli nie przede wszystkim — w dziele, które zostało, które żyje. Nie wszystko w tym dziele może nas tak samo wzruszać jak kiedyś, przeciwko niejednemu chcielibyśmy wobec zmarłego wystąpić z polemiką, o niejednym wiemy, że sam zmarły dokonałby korekty swym dalszym życiem, które nam darowano, a jemu odebrano. Jeśli jednak jest w tym dziele twórcza myśl, która nas i nasz czas wzbogaca, jeśli jest pasja szukania, choćby bez szczęścia znalezienia, jeśli jest ambicja twórczego dorastania swej najwyższej miary — ciąży na nas wszystkich obowiązek utrwalenia ich w naszej pamięci.

Nakaz wynikający z tego obowiązku sprowadza się do ocalenia przed zapomnieniem dzieła. W kilku wypadkach podjęto już ten nakaz i zrealizowano go w sposób wzbogacający panoramę naszego życia kulturalnego. W zakresie poezji częściowo powróciło ku nam — na nowo ujrzałe w perspektywie naszego czasu — dzieło Marii Janiszewskiej-Pawlikowskiej, Kamila Weintrauba, Zuzanny Ginczanki, Tadeusza Hollendra, Edwarda Szymańskiego, Józefa Czechowicza, Lucjana Szenwalda, Bolesława Lesmiana. Odżyło wiele powieści i nowelik, które znowu mogą trafić do ręki inaczej już czytającego je niż w okresie międzywojennym odbiorcy. Przypomniano Emila Zegadłowicza, Wacława Berenta, Karola Irykowskiego, ocalono niektóre młodzieżowe raczej utwory Makuszyńskiego, a nawet Sieroszewskiego czy Kadena, znaleziono także miejsce dla najcenniejszego utworu drugorzędного pisarza, jakim był Dolega-Mostowicz. Listę tę można by poszerzyć i będzie ona z pewnością poszerzona. Przywrócono naszym dniom i cenniejsze prace z zakresu publicystyki czy krytyki literackiej. Odżył i odżywa Boy-Zelenski w coraz to nowych wyborach, Ignacy Fik z uwagami o literaturze swego okresu, a we fragmentach — Ludwik Fryde i Dawid Hoppenstedt. To tylko przykłady. Jest ich już trochę. Ale wiele jest jeszcze luk. O ich uzupełnienie troszczyć się musimy nie tyle w imię przyjaźni, czy nawet obiektywnego szacunku dla dzieła, któremu grozi śmierć milczenia, ile w imię konkretnej potrzeby historycznej, konkretnego postulatu prawidłowego dziania się historii, która zawsze musi korzystać z wszystkich dostępnych sobie wartości, aby lekceważeniem tego, co reprezentuje przeszłość, nie zubożać tego, czym będzie przyszłość. Wobec kulturalnego depozytu dwudziestolecia postulat ten polega na sięgnięciu ku tym wartościom, które — chociaż nie dadzą się wyraźnie zaklasyfi-

kować według ogólnego podziału obowiązującego w naszej wiedzy o tym okresie — stanowią jednak, czy to dzięki swojej wewnętrznej pasji szukania, czy to dzięki bogactwu — nawet częściowo błędnych — treści poznawczych, walor nie do przecenienia. Może — i często nawet musi — być w nas wobec wielu elementów przypominanego dzieła żywa pasja polemiczna, ale nie powinno to w żadnym stopniu pomniejszać obiektywnej godności kulturalnej tego czy innego zjawiska. Wolno nam się z przypominanymi przez nas przyjaciółmi i twórcami kultury nie we wszystkim godzić, ale nie wolno nam ich lekceważyć i zapominać. Nigdy nie wiemy, w jakim stopniu my z nich wszyscy, a nasze osiągnięcia z ich osiągnięciem, czy nawet — z ich błędem.

WTEJ kulturalnej akcji rewindykacyjnej wobec okresu dwudziestolecia powinni mieć i mają swoje — na razie bardzo skromne — osiągnięcia i ci, którzy — łącząc się w ogólnym wysiłku mądrej rewizji i mądrego ocalania wartości kulturotwórczych minionej epoki — są dodatkowo zainteresowani w przywróceniu naszym dniom tych utworów czy twórców, których dzisiejsza, w nowy sposób widziana funkcja społeczna postuluje celom i zadaniom ruchu społecznego postępowego katolików w Polsce Ludowej. W ramach tak pojętej akcji rewindykacyjnej — służącej oczywiście także celom ogólnospołecznym i wzbogaceniu ogólnonarodowej panoramy kulturalnej — przypominano poetycką twórczość Jerzego Lieberta, uratowano z pożogi wojennej dramaty i wiersze Tadeusza Gaycego, wydobyto z zapomnienia pisma Karola Ludwika Konińskiego. Zaplanowano prace nad ożywieniem dzieła ks. Konstantego Michalskiego, Bolesława Micińskiego czy wartościowszymi przejawami nieśmiały w tamtym okresie, nietypowej i wielu jeszcze utopijnymi skazaniami zarążonej, ale ciekawej ze względów historycznych postępowej myśli społecznej katolików. Każda z rozsądnie ocalonych w ten sposób wartości służyć powinna — przy właściwym zrozumieniu — naszym aktualnym zadaniom.

Dlatego i pamięć Włodzimierza Pietrzaka nie powinna zagać w twórczym pośpiechu naszych dni. A jego dzieło powinno być przyznane miejsce wśród naszych dzieł. I życie wśród nas. Ocalając to dzieło i imię jego autora — chronimy się przed błędem zubożenia samych siebie, a przez nas i naszej epoki. Wzbogacając to dzieło potwórnym życiem — wzbogacamy samych siebie i nasz czas. Jeśli ze śmiercią twórcy nie wygasa jego odpowiedzialność za dzieło, tym

bardziej śmierć ta jest zobowiązaniem społeczeństwa do odpowiedzialności za funkcję dzieła, za jego pośmiertne życie i działanie.

A pośmiertne dzieje twórczości Włodzimierza Pietrzaka były co najmniej dziwne. Powiedzmy od razu: niesprawiedliwe. Ocaliły nazwisko, a zaniedbały dzieło. Mało tego: stworzyły wiele niepotrzebnych nieporozumień, chwilami granicznych niemal ze skandalem i insynuacjami. Czas to wszystko wyjaśnić i naprawić, a przede wszystkim czas najwyższy ocalić dzieło, przywrócić nazwisku realną treść, znaleźć dla niego miejsce i w diariuszu strat kultury polskiej, i w kręgu jej żywotnych treści rozwojowych.

Częściowym ocaleniem dzieła Pietrzaka przed niepamięcią była publikacja jego esejów i jednego tomu cyklu powieściowego na łamach „Dziś i Jutro”. Działo się to jednak bardzo dawno, bo w pierwszych latach istnienia tego pisma. Pamięć o tych pracach zółkla wraz z rocznikami tygodnika. Tylko szperacze biblioteczni mogli wydobywać ciągle interesujące rozważania Pietrzaka spod nieustępliwie spiętrzających się annałów.

O dziele powoli zapominano. Pozostawało nazwisko. Patronowało ono przyznawanej co roku nagrodzie dla najwybitniejszych twórców katolickich. Co roku pisano o tej okazji okolicznościowe artykuły o patronie nagrody, przypominano jego sylwetkę, cytowano prace, które znało niewiele, a z młodszych, mniej sferających po pismach badaczy literatury — chyba nikt. Powstała paradoksalna niemal sytuacja: nagroda imienia Włodzimierza Pietrzaka zyskiwała sobie coraz większą popularność, stała się jednym z corocznych wydarzeń kulturalnych, a jednocześnie co roku rosła ilość pytań albo wstydliwych, albo ironicznych: kim jest ów patron nagrody? Kto to ów tajemniczy Włodzimierz Pietrzak? Przyznajmy: słusznie o to pytano, bo Pietrzak stał się coraz bardziej nazwiskowym emblematem, a coraz mniej twórcą konkretnego dzieła, autorem konkretnych prac, wyrazi-cielem konkretnych dążeń, ambicji, pasji. I nie o to idzie, że jakoś to podważało czy podważa prestiż nagrody jego imienia. Ma ona i będzie miała swoją określoną, ugruntowaną już w kilkuletniej tradycji funkcję społeczno-kulturalną. W tym wyroku, to zresztą kwestia jeśli nie bez znaczenia, to w każdym razie drugorzędna. Chodzi przede wszystkim o Włodzimierza Pietrzaka i jego dzieło. Sytuacja, w której nazwisko stawało się ważniejsze od dzieła lub oderwane od dzieła, była i dla nazwiska, i dla dzieła sytuacją niesprawiedliwą, sytuacją domagającą się gruntownej naprawy.

Dodatkowo komplikowały tę sytuację niepotrzebne nieporozumie-

nia, dzisiaj chyba nadające się już tylko do wstydliwego i dyskretnego pokwitowania, jako pouczający zapis drobnych zacietrzewień lub zawężeń partykularystycznych, z których wyrasta się jak z chłopciego ubranka. Tak wypada spojrzeć dzisiaj na zarzuty kierowane pod adresem pisma, które ocaloło swoimi publikacjami spuściznę twórczą Włodzimierza Pietrzaka i nazwiskiem jego opatrzyło fundowaną przez siebie nagrodę. Inne pismo, publikując w roku 1948 jeden z nieznanych esejów Pietrzaka („Mit bohatera”), uważało za wskazane w nocie redakcyjnej stwierdzić, że „od pewnego czasu pewne koła czy koterie polityczno-literackie usiłują sobie niejako przywłaszczyć tego nieodżałowanego twórcę. Aczkolwiek wszelkie prorokowanie i przypuszczanie, co by się stało, gdyby los oszczędził życie Włodzimierza Pietrzaka, nie mają wielkiego znaczenia, osoby, które z autorem niniejszej pracy stykały się podczas całej okupacji i prowadziły wyczerpujące rozmowy, mają wszelkie podstawy przypuszczać, iż Pietrzak byłby w tej chwili dość daleko od grupy, która go dziś uznaje za swoją własność...” („Nowiny Literackie”, nr 12(53) z dn. 21 marca 1948).

Już tylko dla porządku, aby nie wysmiewać przewyżczonych chyba błędów wąskiego partykularyzmu, zaznaczyć trzeba, że sugestie stwarzane przez tego typu zarzuty mniej mówiły o prawdziwych faktach, natomiast więcej o niepotrzebnych — jakże dzisiaj i śmiesznych, i niedożytych — zacietrzewieniach. Pismo, które zajęło się publikacją leżących w zapomnieniu prac Pietrzaka, nigdy ludzi nie uważało i nie uważa „za własność”, a już na pewno nie miało potrzeby „przywłaszczania” sobie pism Pietrzaka, które jego przyjaciele — a jednocześnie redaktorzy tego pisma — bądź sami ocalili z pożogi wojennej, bądź otrzymali od bliskiej Pietrzakowi osoby. Jedną z tych bliskich osób wystąpiła przeciwko fałszywości i bezpodstawności twierdzeń tych, którzy „mają wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że...” Napisala list do redakcji pisma, które opublikowało większość ocalałych pism Pietrzaka. List został ogłoszony, ponieważ pochodził od osoby, która również stykała się z Pietrzakiem podczas całej okupacji i prowadziła z nim wyczerpujące rozmowy, a miała jeszcze dodatkowo prawa do twierdzenia, że zna dobrze tego, o kim mówi. Mianowicie: od matki Włodzimierza Pietrzaka, Ewy Pietrzakowej.

Dla ścisłości stwierdzić trzeba, że niedożył i raczej tanie w swoim zacietrzewieniu sugestie o jakiejś „pośmiertnej aneksji” powtórzono

jeszcze w trzy lata później, w roku 1951, i to na łamach „Nowej Kultury”. Pozwałała sobie na nie — dzisiaj chyba od nich daleki — autor polemicznej noty „Mit i żywy człowiek” („Nowa Kultura”, nr 26(66) z dn. 1 lipca 1951 r.). Dyskutując zapalczywie z moim artykułem o Pietrzaku („Dając ku prawdzie”, „Dziś i Jutro”, nr 24(290) z dn. 17 czerwca 1951 r.) rzucił on wiele słów nieopanowanych, które wymagać będą jeszcze sprostowań. W tej chwili niech wystarczy jedno: posądzenia o aneksję są bezpodstawne. Powiedzmy otwarcie: niepoważne. Cechuje je bowiem dawno już zdyskredytowana zaściankowość w pojmowaniu wspólnoty dóbr kulturalnych. A o te dobra szło tu przede wszystkim.

O wspólnotę tych dóbr, ich pomnożenie i jak najbogatsze rewindykowanie z minionych okresów staramy się wszyscy. Zamiast zaperzać się na temat słusznej czy niesłusznej, istniejącej czy zmyślonej aneksji Włodzimierza Pietrzaka, rozsądniej jest zająć się jego dziełem, udostępnić je tym, którzy potrafią ocenić to, co w nim wartościowe i po dziś dzień twórcze, godne poznania. Ważne jest, by ktoś się tym zajął, chociaż nie jest bez znaczenia i rozstrzygającej wymowy, kto się tym zajął, kto potrafił ocenić i obiektywną wartość i społeczną przydatność zapomnianego dzieła.

Dlatego — wspominając dla ścisłości historycznej o przewyżczonych chyba ostatecznie nieporozumieniach, które dodatkowo komplikowały sytuację, w jakiej się znalazły pośmiertne dzieje twórczości Włodzimierza Pietrzaka — zamiast przypominac zezaktualizowane sugestie o aneksjach sprzed ośmiu czy czterech lat, przypomnijmy raczej niedezaktualizowany artykuł sprzed lat dziesięciu, w którym jeden z czołowych publicystów, wymieniając pośród niesłusznie przemilczanych i Włodzimierza Pietrzaka, stwierdził: „Czas jest przestać milczeć o żywych i zmarłych. Czas jest zacząć mówić o żywych i zmarłych” (Jan Kott: „Spisek milczenia”, „Odrodzenie”, nr 41 z dnia 9 września 1945). I dodajmy od siebie — myśląc także o Włodzimierzu Pietrzaku — czas jest widzieć zmarłych-żywych, czas najwyższy, by wszystko, co godne pamięci, co pomocne w naszym życiu i rozwoju, co twórcze i wzbogacające — ocalić od zapomnienia.

Zygmunt Lichniak

* Fragment większego studium o Włodzimierzu Pietrzaku, które poprzedził tom jego esejów „Rachunek z dwudziestolecia” przygotowywany przez Wydawnictwo „Pax”.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI



Geneva

Głos sprawozdawcy grzązł w płótnach głośnika zakatarzał się wśród lamp. Słowa jak kule dźwięku uderzały, rozpryskiwały — fale nadziei fale radości. Wszystkie drogi wiodą z Genewy.

Kościół o łaciątym dachu stracił krzyże — obcięły je nozycze samolotu. Szeleszcza papierki na niedzielnej tacy. Nowa wieża przeciętna drzewa Na jej szczycie przysiadł niepokój umknął spłoszony przez antenę, która sprzyja ptakom. Spod białej płynie wesoła struga piasku. Wszystkie drogi wiodą z Genewy.

Przymykam oczy. Biegnę ulicą krzyczących domów. Pożar bije skrzydłami Ogłusza miasto. Most rozprysnął w niedokończonym skoku. Nad horyzontem zaciągnięto czerwoną kurtynę. Teraz przebrnął do mnie głos spikera. Gładka nawierzchnia przecina zieleń na jej ostrzu bliższy kropla miasta. Wszystkie drogi wiodą z Genewy.

Drewniany krzyk kobiety kołatał w pustych ramionach. Spłoszyły się obłoki żeglujących strzepów pieluszek. Nad czworokątem, z którego uleciał dom, mężczyzna gubi łzę. Była przezroczyta i twarda nie rozbito jej młoteczkami współczucia — Dziś dziecko upuściło poranek Toczy się i dźwięczy jak maleńkie cymbałki. Zapomnienie spoilo nowe cegły Łza nadaje przejrzystość szybom Ulica biegnie przed nami. Klaniają się młode drzewa. Wszystkie drogi wiodą z Genewy

Przyszłość

Dreptali ludzie po ziemi, Biegali po niebie, Siegali pod kamienie Z wodą i chlebem.

Woda wzbierała błękitnie Chleby brunatnie kwitły Ludzie z krwi nieobmyci Umierali w bitwach.

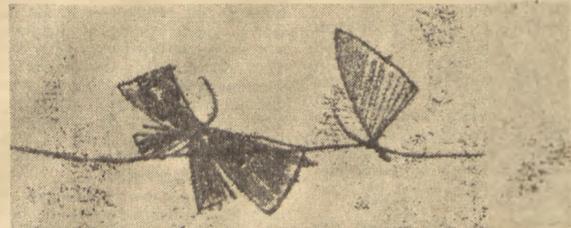
Trzeba było mądrości, Krwi trochę i lat niewiele

By chleby obficie rosły, By wodą spragnionych obdziałeli.

Biegają ludzie po ziemi I drepczą po niebie Świat starym miłociwszy Dla młodych — przyjacielem.

Przy akacji

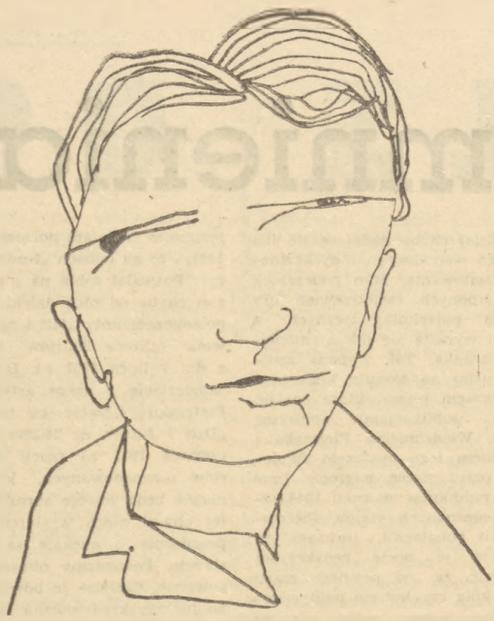
Wieloskrzydły i wiotki wśród bieli za słodkich liść. Przemknęły deszcze i burze jak palce po klawiaturze miłość czy wiersz wywróżył liść.



Umarły wiersz

Noc uwieszona u mych okien przedłuża skrzydło sosny w cień. Księżyc uderza martwym wzrokiem w ograniczony lampą dzień. Ostatnią linię światła przeciął zegar. Płyniemy ja i wiersz, wśród nas trzepocze się ktoś trzeci, cma w jasnej sieci, może śmierć. Jutro znów zieleń spłynie w sosny, opłucze liść przedranny zmierzch pociągu przelot sen otrząśnie. Zbudzą się ja, umrze wiersz.

PRZYSIEGA



Zostanie kamień z napisem: Tu leży taki a taki. Każdy z nas jest Odysem, Co wraca do swej Itaki. (L. Staff)

1.

MIASTA, o którym mowa, nie ma na mapie. Jeśli nawet kształt ulicy, kasztan u kościoła, fasada sędziwej kamieniczki — zachęca czynnym bliskim, wspomnijmy wówczas na daną nam zyciu łaskę skojarzeń i wrażeń bliskosci nie przypisywamy określonemu ulicom, kasztanom i kamieniczkom. Jest to bowiem mięso urojone.

Luźni, o których mowa, nie spotyka się codziennie na ulicy. Nie spotyka się ich w ogóle. Jeśli nawet blysk oczu, ciepło imienia, śmieszność w twarzy — nachyla się ku nam kims bliskim, wspomnijmy wówczas na mnogość podobieństw właściwych naszym oczom, imionom i twarzom, a nie trudnimy pamięci wywoływaniem — w niepamięć odeszłych postaci. Albowiem ludzie, o których mowa, również są urojone.

A prawdę urojen tylko rzeczywistość zdolna jest odmierzyć...

ZAKASZLAŁ. Nerwowo przelał papierosa i szał go chwycił przez drewnianą łufkę. Szczecińska ciężyła się rosnącym wciąż prawem do życia na jego od przypadku golonym obliczu. Gdy tak trwał zgarbiony i przybladły, z oczkami pełgającymi po stole zawalonym przez odpadki — raz jeszcze przypomniał jednemu swemu słuchaczowi zagubionego w jamie borsuka.

— Co sądzisz — spytał — Sewer?..

W pokoju gesto od dymu, który wraz z kurzem odebrał wszelką świeżość porzuconym książkom. Łychnać, jak ogień seplen w piecu i zima chrząści za oknem. Skąd wziąć odpowiedź wiedząc, że człowiek polował z zawzięcią, z uporem borsuczym za słowem, którego trop biegł z wodnie poprzez księgę tę i ową, poprzez pustynie zapomnianych broszurek i druków — i gubił się gdzieś wśród sterty, całej sterty nadpleśniałych tomów, do których nikt rozsądny nie zagląda. I kiedy zawodziła ostatnia karta solidnej encyklopedii, stał w zadziwieniu przed zwykłą gazetą, olśniony w szpalcie drugiej, wierszu osmym od dołu s ł o w e m . na które polował, nie wbitym jeszcze na gwóźdź, nie wędrującym jeszcze kanałami miejskich ścieków.

— Udało ci się, Zbyszek, wiesz... z tą prawdą urojen... Daj papierosa. Cmilu w milczeniu. Zbyszkowa łufka, jak zwykle, pochrapywała. Obaj nauczyli się długo milczeć, nie cokolwiek powiedzą, tak jakby przez to stawali się mądrzejsi. Jeden z nich, w tym kierunku uzdolniony, ukuli niedgdyś aforyzm o tym, co się dzieje, gdy przemówi „wielki milczący”. Aforyzm na nieszczęście zbyt trudny do powtórzenia. Przypuszczano, iż mogli się doskonale porozumieć zwykłym mrugnięciem powiek. Tylko że to nie była prawda.

— A prawdę urojen tylko rzeczywistość zdolna jest odmierzyć... Dobrze powtórzyłem, co, Zbyszek?

— Dobrze — mruknął — tylko niby co z tego? Taką rzecz napisać, rozumiesz, trudno... Otrząpiał popiół ze spodni, którym już dawno za dobrą służbę należała się emerytura, i zwrócił swą żółtawą, skósną twarz, w której oczka kryły się głęboko, na rozwalonego w borsuczym wirku Sewera.

— To ma być, wiesz, opowiadanie o środowisku akademickim... Tak na gorąco. Najbliższy czas, niedawne lata... A ten wstęp, o, rozumiesz, on ma wiele wyjaśniać...

Sewerowi na dobrą sprawę wyjaśniał tyle, że za godzinę, dwie, zaczyna się długie miesiące, kiedy nie wspomną zupełnie opowiadania, kiedy będą mówić o potrzebie eseju, o Zeromskim, o geniezie przyjaźni i prozatorskich próbach Sewera, o nędzy polskiej kinematografii, o świętości i materializmie filozoficznym, doli i niedoli kolegów, o historycznej powieści i problemie: chrześcijaństwo a cywilizacja i kultura, o państwie jezucickim w Południowej Ameryce i o Lema wy-

prawach międzyplanetarnych — ale nawet mrugnięciem powiek nie wspomną opowiadania, bo Zbyszek ani słowa więcej nie napisze. I Sewer postępując się frazą dramaturga, którego cenili, nazywał tę borsuczą skrytkę — „dnem studni niepamięci”.

— Ot, popatrz, czytam Newerlego i myślę, co on znaczy po Zeromskim?... Co ktokolwiek może znać o Zeromskim? — Gdy się uśmiechał, pokazywał sfatygowane tytoniem zęby. — Tak widzisz, Sewer, nie wolno... Za słowo płaci się dniem i nocą, za książkę — całym życiem.

W zapamiętaniu przeżuwaliby tę prawdę dopiero co objawioną. Znow ogień seplen w piecu, a zima chrząściła za oknem. Tyle że dymu w pokoju było więcej.

2.

DROGA z uniwersytetu zaspianymi ulicami na przedmieście graniczące z wsią — to ciężka droga, gdy się dzwiga na sobie chłód rannej pogoni do pracy, okliwe wspomnienie dentystycznej kliniki honorowane miesięcznie skromnym zarobkiem, tęsknotę za niezjedzonym obiadem, znużenie polonistycznych wykładów i — nadzieję na takie samo jutro.

Droga z uniwersytetu, to ciężka droga, gdy się dzwiga na sobie pamięć nocy wycieńczonej nad rękopisem, który nie wiedzieć czy dołądzi do druku, gdy się dzwiga na sobie senność egzaminów, chaos zaklasyfikowanych profesorów notatek i nadzieję na takie samo jutro.

Droga z uniwersytetu, to trudna droga, gdy człowieka bardziej niż znużenie pęta nieśmiałości, gdy każdy krok na lutowej gołozieli trzebi szanse czekających stów. Odebrałszy im odwagę, karczuje je, przesuwa, przeciera, miedli... aż brzydą oszronione drzewa, aż iskierki mrozem wypalone na rzęsach gasną w nagłym skurczu powiek.

Albowiem droga z uniwersytetu, nawet jeśli padną te słowa, nie stanie się jeszcze drogą nadziei...

Oto i ostatnia latarnia. Przystają oboje u nadgniego płotu. Tam dalej kończy się miejska cywilizacja. Z najbliższego okienka sędziwej chaty próżny w ciemności mętny poblask lampy naftowej. Pies zaszczekał. Jeden. Drugi.

— Dobranoc, Sewer.

— Dobranoc, Joanno.

3.

UNIWERSYTET chronił tradycje. Mury uniwersytetu — zapaszek ni to koszar, ni to klasztoru, który tu niedgdy prosperował. Był czas, kiedy historia nie omijała uniwersytetu. Potem przysła okupacja. Wielki rwetes pierwszych lat po wojnie.

Gdy się później szło korytarzami, zwłaszcza przez ciemne zakamarki wokół zakładów polonistycznych — ów zapach atakował nozdrza ze zdwojoną siłą. Niektórych, szczególnie studentów pierwszego roku, przyprawił o zawrót głowy. Inni dość szybko się asymilowali. Jedynie raz do roku, gdy otwierano na przestral okna, uniwersytet oddychał nieco swobodniej i nie tylko do sal wykładowych, ale nawet w ciemne zakamarki przedostawał się daleki powiew wiosny. Studenci ruszali wtedy tłumnie na powietrze nowego świata — do ogrodu, który nie wiedzieć czemu, nazywał się: „saski”. W salach spędzani sesji i przykuł tradycją trwał profesorowie. Potem wszystkich przeganiały wakacje.

Wielu jednakowoż wracało po nich z uczuciem wyczerpania, nadstrzępionymi nerwami i zachwianą pewnością siebie, domagając się — zwyczajną rzeczą koleją — prawa azylu. Uniwersytet — stróż tradycji — udzielał go chętnie, jako że był uniwersytetem chroniącym spokój. Zabudowany w czworobok, z wykuszem u każdej flanki, z dziedzińcem zamkniętym na świat zewnętrzny — przypominał twierdzę nie do zdobycia, odporną jak ostatni szaniec.

Wewnątrz jednak było bardzo spokojnie. Kartacze bijące ze wszech stron nie doznalyby nic naruszyć w ustalonym tu porządku rzeczy. Był to bowiem spokój zapomnienia. Świat zewnętrzny do-

cierał tu w odpryskach zbyt niskich, aby były niebezpieczne. Czasem — z desek miejskiego teatru — przenikał cień dramatu scenicznego. Kiedyś powiało „Skandalem w Clochemerle”. Ale na ogół nie mówiło się nawet — przy daleko ponuranej studenckiej ascezie — o miejskim menu, ponieważ stołówka akademicka była na miejscu.

Nic tu dziwnego, gdyż zwyczajem uniwersytetu jest interesować się tym, co mu przysługuje. Mądrość tkwiła w księgach i głowach profesorów. Tradycja tkwiła w murach. Mądrość razem z tradycją brało się za najlepszą monetę. Mądrość jednak, by ją wziąć, żąda skupienia, jest bowiem nader krucha. Skupienie płynnie ze spokoju, spokój z zapomnienia. I uniwersytet, jako że był opatynowanym uniwersytetem, to wszystko gwarantował. Był to bowiem cierpliwy, sprawiedliwy i wyrozumiały uniwersytet. Dawał człowiekowi coś, czego nie da się zdobyć w świecie — posmak życia nie z tej ziemi.

I ci, co tu przychodzili, niejednokrotnie nie wiedzieli nawet, że z każdym dniem i z każdą godziną gąśnie w nich możliwość powrotu. Brali monetę nie sądząc, aby kiedykolwiek potrzebowali być wypłaconymi. Tak ich zresztą przyuczano.

I kiedy przyszło im zacinając w dloni uniwersytecki gład na samodzielność — poczucie dumy walczyło w nich z podejrzaniem baniacji. Za bramą bowiem czekał świat niecierpliw, niewyrozumiały. Jakże mu było skądą przysięgą na wierność.

4.

PRZYJAŻŃ Zbyszka z Sewerem narodziła się ni stąd, ni zowąd. Zнали się, co prawda, dużo wcześniej. To znaczy, Sewer — tuż po swoim powrocie z granicy — studiował fraszolowie dwutomowe materiały do dziejów pacyfikacji zamojszczyzny, w której to publikacji, jak się później okazało, udział miał Zbyszek. Ten zaś zapoznał się przypadkowo z takim czy innym Sewerowym piśmieniem w jednym z katolickich tygodników. Ponieważ różnica w studiach — Zbyszek je kończył, Sewer był ledwie w połowie — nie umożliwiała im zetknięcia na uniwersytecie, spotkali się dzięki wspólnym znajomym na terenie neutralnym, w kawiarni. Kawiarnia miała renomę gwarantowaną przedwojennym nazwiskiem jej minionej właścicielki, a ponieważ była jedynym tej miary przedsiębiorstwem w całym mieście, regionalna opinia publiczna uznawała ją za dobrą kawiarnię. Tu znajdowali schron artyści, których pech lub brak rozsądki zapędził

dzie — niezastępowany, jak utrzymywał — autorytetem wśród młodzieży uprawiającej tzw. twórczość własną, a Sewera wyróżnił co jakąś tam nagrodą, na którymś z akademickich konkursów — ale w życiu uniwersyteckim znaczyli tyle, co tzw. krople w morzu, których za mało na chmurę, a jeszcze mniej na deszcz. Pewni ludzie pokładali w nich, owszem, pewne nadzieje. Opinia profesorska stawiała raczej na Sewera, wołąc stawić na młodego, a nie na starego konia, jakkolwiek niepodatnemu na wpływy Zbyszkiowi przyznawano lojalnie większe zdolności oparte wiedzą, którą ten — swoim zwyczajem — lubił wykorzystywać dość przekornie. Z tego, co przetrwało — a miał oskomę na wszystko wyjąwszy sport — czynił użytki wprost niespotykane w kanonie powszechnie uznanych zasad gospodarowania talentem i wiedzą. Uwielbiał bowiem zabawę z przymrużeniem oczu. Gierki, w których o chotni smutnie się kompromitowali. Tylko Sewera i kilku w tajemniczo nie brał na serio. No i wtedy dopiero stawał się naprawdę nieznośny. Był bowiem w istocie człowiekiem poważnym. Wówczas więc nicował wszystko z prawdziwą maestrią. Przy Sewerze, z którym się przyjaźnił najmocniej, tylko czasem mu ręka drgnęła. Stawał wtedy zakłopotany, marszczył czoło, przełamywał czym prędzej papierosa i chichotał krył konfuzję. Jednakowoż Sewer dobrze wiedział, że gdyby nie Zbyszek, cała Sewerowa piśnina byłaby lichy warta. Zbyszek bowiem wśród wielu trwonionych talentów miał jeden, który trwonił z miłością. Którego nikomu w żadnej godzinie dnia i nocy nie żałował. A był to talent doprowadzania ludzi do tego, co chcieli naprawdę powiedzieć. Stosował tu próbę dojścia do rozstrzygnięć ostatecznych, której to próby przypuszczalnie nauczyło go życie, gdy leżał zeszlachtowany przez Niemców w krasnostawskich lasach. Był jednak dużo bardziej wyrozumiały, choć równie nieodwracalny, co doświadczenie, którego zakosztował. Ironia tkwiła w tym, że Sewer bez Zbyszki byłby tylko cieniem Sewera, lecz Zbyszek bez Sewera pozostałby pełnym autentycznym Zbyszkiem. Może, co prawda, trochę zagubionym, ale niewiele.

— Za drogę twórczą naszej fundatorki... „Hunha!” wysapała blondyna. — Oby każdy dzień jej żywota podobny był niedzieli!

Stuknęły szklance. Nad rozchylonymi ustami zawisła cisza. Z dołu, po schodkach, szło staccato klasyczna czkawka pijackiej. Zaróżowiona, prawdziwie pączkowa ta „fundatorka” wachlowała się koronkową chusteczką, aż jej perkaty noszek zdawał się zdążyć do nieba odciętego piwniczną powolą. Dziś był jej wieczór. Wygłosiła bowiem w poważnej sali uniwersyteckiej kilka wierszy własnego pióra, których perlę stanowią owi niezapomniani liryk:

A gdy ciebie nie ma
Smutno jest w mym kątku
A każda niedziela
Podobna do piątku.

Na co wyniosły młody człowiek, który swoimi przekładami zakłócał spokój Heinemu, powiedział jej: „No, talencik jest!”

— No, temperament jest! — palnął ni stąd ni zowąd człowiek o twarzy satyra. Uszczypnąwszy się uprzednio, jak Sewer zauważył, w zadek.

— Menci... menci... putramenci... Hura!.. Gunga Din!

— Znow strop stęknął, a głuche głosy huknąwszy po schodach, zdusiły wreszcie upartą czkawkę w piwnicy.

Po czym człowiek o twarzy satyra wstał i wygłosił istotnie celną satyrę. Nikt jej nie zapamiętał, bo wszyscy mieli w czubie.

— Tak oto marnieją dzieła sztuki — orzekł olimpijski tłumacz. — Tułając się do rączków „fundatorki”.

Sewer nie wiedząc czemu strzelił z nagła pustą szklanką w pułap. Szko trysnęło na pseudostaropolski stół. Z dołu, przecząc przemianowi, znow odezwała się czkawka. Gunga Din! — zawołała blondynka od humoresek wbijając kryształek po szklance w samo serce piernika.

Wbijając oczy w przytulonych, Ignących, zamgłonych dymem i parą, krzywiąc usta przed winkiem — siedzący na skraju ławy kolega-statysta zaczął skandować:

Za drugą, trzecią skłonów metą
Gladiator rękę podniósł swą:
To — nie to, krzyżując,
Miłość nie to,
To nie to Przyjaźń, co
dziś zwą...

I nagle nieświadom tego, że i tak go nie słuchali, szepnął coś do Sewera, schwytywszy go kurczowo za rękę.

— Czego...? — mruknął Sewer. Tamten omijając go szklistym wzrokiem, wyszeptał:

— Na litość Boską, powietrza...

Gdy ich rzeka noc uderzyła w twarze, kolega-statysta, zaparty w stronę, gdzie za wieloma domami trwał uniwersytet, powiedział:

— Cholera, to jednak są katakumby... Trzeba by się wyrzucić.

Sewer wstrząsnął ramionami i odwróciwszy się na pięcie, zaczął schodzić na powrót w podziemia. Słychać było, jak śnieg mu trzeszczy pod butami. Nad zejściem huśtała się czerwoną staroswlecka latarnia.

6.

PROFESOR miał uśmiech błyśkawice. Uśmiech — cicieje. Po którym nie wiadomo było, czy też się uśmiechać, czy liczyć ciark przebiegające po plecach.

Chodził dragońsko. Z dala paliła się jego szeroka twarz. Lubił Arystofanesa, narty, piesze wędrowki i młode studentki o utnych oczach, które obdarzał uczuciem ojcowskim.

Ponoć, jak głosiła fama, której sam był dyskretnym sprawcą, miał w młodości niejedną przgode, zwłaszcza gdy temperament zapędził go na wiozcegi po Andegaweni. Swoją losy żywota, po latach, określił zamitowaniem do komedii Arystofanesa i subtelnym wyczuciem tająników wersyfikacji.

Pewien młody polonista śmiertelnie mu się naraził, wygłosiwszy potrzebującą płonącą fryzurą na akademickim wieczorku swój utwór własny:

Powiedzieć wreszcie do ciężkiej cholery,
Czy nam jest pokój potrzebny
czy wojna?!

Miał odtąd solidne kłopoty z literaturą powszechną i znajomością wersyfikacji. Tym gorzej, że niespecjalnie przepadał za Arystofanem.

7.

CZY już nie wróci czas siły — zupełnej... Szach królowi! „Ani ma jeszcze zasłynąć...”. Garde! Zaraz leżysz... „Wiek, gdy porun o ważono się plynąć Ze złotej uwite weiny?...”

— Co to jest? — spytał Sewer zastaniając się desperacko koalkiem.

— Norwid. Szach królowi — odparł spod nawisłego nosa bezwzględny kolega-statysta.

Partia była przeczadzona. Sewer od początku zła nie pokierował. Jeszcze co prawda bronił się koni wsparły o wiezę, ale już zewsząd nacieraly białe pionki, białe wieże, białe laufy, białe konie.

„Czy już nie wróci czas siły — zupełnej...”. Sewer budował pospiesznie ostatnią barykadę. „Ani ma jeszcze zasłynąć...”. Przeciwnik taktycznie cofnął się wieżę i nagle na białym koniu wjechał w samo serce bronionej pozycji.

— W szachach — mruknął — nieznane jest samobójstwo... Mat!

Sewer wstał, przeciągnął się zapalwszy papierosa zapadł w sędziwą kanapę. Światło dość nie mrawo przenikało przez klosz sfatygowanej lampy. Spod oka przyglądał się statystyce, który zaplotłszy swe długie łapska na chudej gołeni, kiwał się monotonna, zamazując swój profil na ścianie.

Sewer zauważył, że cynik-statysta po swojemu się uśmiecha odstaniając zza cienkiej warg żółte zęby, z których każdy walczył o swoje interesy. Ktoś tam wyrzcił się kiedyś, że statysta mogłby nawet nieźle śpiewać, gdyby nie miał w gbie całej walki klas. Sewer jednak lubił statystę, choć notorycznie przegrywał z nim w szachy. Lubił go dlatego, że statysta miał o wszystkim własny a tak odmienny sąd, iż powszechnie brano go za cynika, choć działał przez wiele lat w organizacjach młodzieżowych. Do dziś otaczała go jeszcze garstka niepełnoletnich wielbicieli. Teraz zaś, nie wiadomo czemu, studiował historię sztuki. I licho wie, z jakiej przyczyny, zwłaszcza, że w czasie wojny mieszkał nieopodal Majdanka — nie cierpiał Żydów.

Szybkim ruchem zmieszał szachy i wyspał je do pudełka. Sewer zaciągnął się okurkiem papierosa i mrużąc oczy powiedział do statysty:

— A jednak historia sztuki uczy niewiele... Bo jeśli się pomyśli o warunkach pracy w antycznych kamieniołomach — Wenus z Milo staje się zwykłą dziwką.

— Otóż to — podskoczył statysta, aż mu kropelka spod nosa pacnęła na stół, miał bowiem chronicznym rozmiarom organie powonienia. — Otóż to... i n t e r e s m a s . Słusznie, socjalizm walczy o szlachetny interes mas. Cała bieda w tym, że mamy nieznaj swych interesów. No, a jeśli trzeba być uczyni... — zasmiał się swoimi cienkimi wargami.

— To co? — zapytał Sewer powstając. Przedwojenne sprzężony stęknęły w kanapie.

— To — wyjaśnił statysta — można je na przykład n a u c z y ć, mojej drogi, zapisywania się w historii. Dziś pierwszy, lepszy murarz bardziej jest u nas znany niż Dunikowski. Tylko że to wszystko, pozwól pan, iż go zacytuje, przypomina kamieniołom. Tym, który dzwiga kamyenny złom, nie dane będzie ujrzeć zadnej Wenus z Milo. Bo, między nami, tylko ta nieznana Wenus z Milo naprawdę zapisuje się w historii...

Patrzył swym zimnym, przymglonym wzrokiem w Sewera.

— Owszem — powiedział — Owszem — śmierć sama i jej piekiel-krater. Cóż są?... rzecz wielka lub licha: W miarę tego, jak? Jaki bohater? Dopelnil swego kielicha. — Niechże więc Kolchów wiek sobie nie wraca. Współczesność w równej mam cenie...

— Czy to już koniec? — spytał Sewer.

— Nie. Zostało jeszcze pół strofy. Ale to nieważne, mój drogi. Naprawdę nieważne. — Wyciągnął swą wielką dłoń. — Cześć.

Sewer odpowiedział go do drzwi. W korytarzu statysta się zatrzymał i powiedział na odchodne:

— Historia sztuki, towarzyszu, uczy mniej więcej tyle, co Nietzsche, że prawie wszystko to, co zwemy kulturą, polega na uduchowieniu i pogłębieniu okrucieństwa.

Wróciwszy do pokoju Sewer machinalnie zgasił lampę i stał zamysłony patrząc w dalekie światła przedmieść za oknem.

ZNACZNIE później, dopiero gdy statysta spełnił swój kielich, Sewer odszukał tomik Norwida i kartkując z uwagą, natrafił na wiersz zatytułowany „Bohater”. Ostatnia strofa, której nie dopowiedział statysta, brzmiała:

Niechże więc Kolchów wiek sobie nie wraca,
Współczesność w równej mam cenie!



na występy gościnne w te strony. Tu kiwało się nad stolikiem kilku wycofanych z obiegu literatów, marzących o założeniu własnego piśma. Tu też, otoczony aplauzem statystów, pohukiwał na całą salę bas-baryton miejscowej operetki. Statysty rekrutowali się spośród studentów, którym wcale nie groziła kariera naukowa, albo groziło zwinięcie tej kariery ze względu finansowych. Głębokim jednak szlochorem lokalowi dyktował ton wchodząc na ziemię zespolik miejscowego teatru. Zbyszek z Sewerem dopiero znacznie później, gdy upodobili sobie wspólnie siesty nad kuflem piwa, wnikliwi w istotne tajniki zwyczajów tego lokalu, nie do poznania dla przechodniów. W czasie odmierzonego kolejnym przeniesieniem po trzeszczących schodkach do WC na półpiętku, odmalowali rzeczywistości praw do obiektywnego istnienia lub — przy lepszym piwie — przywracali jej tę godność. Proceder ten był w jakimś stopniu rodzajem rekompensaty za styl rozumowania przyjęty w czcigodnej Alma Mater. Uważano ich trochę za narwańców, trochę za dziwaków, choć właściwie byli podobni do siebie jak pięć do nosa. Zbyszek cieszył się wpraw-

kiś powiedział: „A ja wam mówię, że to są katakumby...”

— Aha — mruknęła niespieszona blondynka, pisująca humoreski — Umby... bumby... barabumby... Gunga Din!

Jeszcze nim chór podjął: „zakochał się w maupie” — niskie sklepienie sędziwej winiarni, w której pociągali ponoć sam Jan z Czarnolasu, stęknęło ciężko i głuchy głos huknął po schodach w samo dno piwnicy. Dym i para przesłoniły ciało Ignące do siebie pod lada pretekstem. Gunga Din! Ci ludzie się kochali. Zdunnie lub przygodnie. Z nadzieją lub z rwanym zwarem ust za całą nadzieją. Gunga Din! Świat to głupia karuzela! Uniwersytet? Jarmarczna buda! I wińsko zamierzone na in spe artystyczną kieszeń. Więc podnie. Więc kważne, Dorozkarskie.

— Na tych piernikach można sobie zęby polamać — stwierdziła rezolutna, pisywała bowiem artykuły do miejscowego dziennika, czar-na Maryśka.

Spostrzeżenie przeszło bez echa i piwnice odetchnęły, bo blondynka od humoresek zakrzuszyła się własnie winem i nie mogła zaintonować: „...bęby... barabęby... Gunga

NA WIERNOŚĆ

Heroinizm będzie trwał,
dopóki praca,
Praca? dopóki stworzenia...

Potem również zgasił lampę i
długo stał zamyślony patrząc w
dalekie światła przedmieść.

8.

Na Wschodzie wybuchła wojna w Korei. Ludzie czytali komunikaty, poeci synęli wierszami. W domu pili potem wino i grali w karty. Meżowie stanu spokojnym głosem londyńskiego spikera uzasadniali konieczność użycia Wehrmachtu. Generałowie SS rezygnowali z szubienic. W Stanach Zjednoczonych palili się Mannem, Fastem i Gorkim. ONZ debatowała nad możliwością kontroli broni atomowej, a w Chicago, w Detroit, w San Francisco i na Florydzie — dźwięk syren wpędzał dzieci pod krzesła.

Na uniwersytecie studenci chłonili wiedzę o przemianach spótgłaskowych, metrum poezji epickiej, pompejskich zabytkach, wpływach Castiglione'a na literaturę polską, balladach Niemcewicza, wojnie trojańskiej, funkcji humoru u Chodźki, roli przemian w dramatach Wyspiańskiego. W domu kuli do egzaminów.

Pod Krakowem budowała się Nowa Huta, w Warszawie i Lublinie — fabryki samochodów. Kosićcy pękali od napływu wiernych. Nad Wisłą, po przereźnięciu Trasy W-Z, rosło nowe, wspaniałe miasto. Gdzie niedługo padał strzał za węgła do działaczy partyjnych. W miasteczku i wsiach zakładano światła i świetlice. Stare babcie chipały, a mieszczanie zacierali ręce. Pewien tygodnik warszawski z uporem dowodził, że tak być nie powinno i nie będzie. Na biurkach redakcyjnych pojawiały się listy od byłych analfabetów. Wiś brońta się przed wspólnym włodarzeniem ziemią.

Na uniwersytecie studenci w przerwach między wykładami rozmawiali o egzaminach, o pogodzie, wycieczce do Kazimierza, felietonach Kisiele, dziurach w bucie, sambie, subtelności Eliota i teorii literatury.

9.

W ŻYCIU swoim Sewer odkrywał coraz to nowe pokłady jałowości. Zbył się ciężaru, oświadczywszy się wreszcie pod ostatnią latarnią, u nadgnilego płotu. Ale był tak niezadany, tak niezadany, tak w sobie samym okaleczony, że nie z tego nie wyszło. Tyle że psy nad nim poszczelewały, aż księżyc przybladł. A wcześniej jeszcze ktoś zdmuchnął naftową lampę za szybką sędziwej chaty.

Zbyszek był nie do życia, gdyż zaszył się w wynajętym u faktycznej wdowy pokoiku, aby zrobić pracę magisterską, i żwawo słał listy do wszystkich w Polsce możliwych profesorów z prośbą o radę. Sewer więc tłukł się wygaszony, odbębnił jakies tam kolokwia, skwircał po nocach, szachy mu zbrzydły, więc zył się po Starym Mieście, sypiał niewiele i to przezważnie na wykładach. Co niedziela wycyzyszywy buty i zgoliwszy miernawy zarost, omijał skrupulatnie wszystkie kościoły...

Cierpienie nauczyło Sewera tyle, że nie może być nonsensowne. Ale nie znośił, gdy w Bogu upatrywano sprawcę wszelkiego cierpienia. Gdy nędzę przypisywano konieczności wyrzeczeń. W życiu zdarzyło mu się widzieć niejedno. I prze-czuwał, że jeśli ktoś ubiera się dostojnie, a ktoś nie ma co jeść, to ten pierwszy — choćby sam nie tknął brata palcem — jest jakoś odpowiedzialny za zbrodnie. A ponieważ tłukł się trochę po świecie, widział, iż bogatych braci było stosunkowo niewiele, a tych biednych — całe miliony. Wrócił do kraju, który miał udowodnić, że wyszok będzie do usunięcia. I — jak inni mówili — że religia będzie przyżytkiem. A w głębi siebie uważał, że sami katolicy tego chcieli, kontemplując w kółeczku to, co z ducha swego było społeczne. Kontemplując, kontemplując, aż w s z y s t k o rozmięli na drobne, wypchane pospiesznie w przegodną dłoń pod kościółem. Uważał tak, przypuszczając jeszcze więcej, ale nie mu z tego nie przychodziło. W pisaniu swoim był daleko poza krajem, w kręgu innych spraw. Ktoś nawet twierdził, że Sewer się skończy, gdy tylko za-jęddzi ulubiony temat. W życiu zaś pochłaniał go uniwersytet, wykłady, seminaria, egzaminy, wśród których nie było miejsca na sprawy społeczne. Jedyny zresztą wykład ekonomii socjalistycznej miał taki matok, że czym prędzej odebrano mu prawo do głosu w czcigodnej auli Alma Mater.

Poza tym Sewer stronił od ludzi. Był cokolwiek nieśmiały. Młodzień-czo cenil dyplomowane autorytety. Od profesorów, których polubił i z którymi nawet żył się na zasadzie trochę zdolności, trochę artystystwa, oddalał się stopniowo, stwierdzając, że ich stosunek do tego, co się dzieje w kraju, zamykał się na ogół w szekspirowskim:

There is some soul of goodness
in things evil,
Would men observingly distil it out.

Co prawda, zachowywał w sercu wdzięczność komuś, kto zadał sobie pokutę posmakowania jego literackich pierwocin, gdy były jeszcze zielone, i komuś, kto nauczył go szacunku dla pięknej mowy chaucerowej, szekspirowskiej i ches-sterstonów.

A jałowość płynęła stąd, że nie bardzo wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Z wdzięcznością, z samotnictwem, z niewiarą, z oburzeniem. Trzymał to wszystko w sobie i kiwał się smutnie nad mądrosścią świętego Tomasza Morusa, zakreślając czerwonym ołówkiem: „Jeśli nie potrafisz tego dokonać, aby w jakiejś sprawie zwyciężyło dobro, czyni przynajmniej wysiłki, aby wpływ zła jak najbardziej osłabił, niemżowościścią jest bowiem idealny stan rzeczy na świecie, chyba żeby wszyscy ludzie byli doskonałi; lecz tego — kończył święty mąż — nie spodziewam się przed upływem wieków”.

10.

WYOBRAZIE sobie państwo — mówiła korpulentna dama vis-a-vis — że oni od-bierają człowiekowi nawet możliwość odpochnięcia. Wczoraj znów było zebranie, p r a s ó w k a.

Zgromadzone głowy kiwały nad talerzami. Nie wiadomo, czy z uznania dla spostrzegawczości damy vis-a-vis, czy też z uznania dla talentów kulinarnych pani domu. Sewer znajdował się tu, wśród dwóch mecenasów, lekarza, nauczyciela gimnazjalnego, księdza i kilku dam o pośledniejszym zajęciu — prawem krwi, czyli powinowactwem z gospodarzami domu.

A przedwczoraj, wyobraźcie sobie państwo, personalny łapie mnie na schodach i mówi, że już trzeci raz się spóźniam i że on...

Zanienowiła spostrzegłszy spływającego na stół szczipaka w galarecie. Oczyszczała czym prędzej talerz z szynki z chrzanem. Ktoś przez radio wpuścił Chaczaturiana. Ksiądz jadł. Nauczyciel gimnazjalny z gracją podał damie półmisek. Srebrna sztućka prowadzona pulchną rączką sprawnie naruszyła w upatrzonym miejscu spokojną szczipaka w galarecie.

Ach, więc, proszę państwa, że on... nie wytrzyma.

Jeden z mecenasów strzelił w nią rzemem. Dama vis-a-vis dyskretnie zachichotała. Ksiądz różowiułko jadł.

Przecież opowiadałam państwu...

O czym pani opowiadała? — spytał lekarz, który był głuchy i z tego uprzywilejowania, jeśli nie pił, korzystał na swój sposób.

O naszym personalnym, panie doktorze — odparła dama, subtelnie podnosząc natężenie głosu. Usłużny nauczyciel z gracją zamknął Chaczaturiana. — Wyobraźcie sobie państwo, trzeci raz się spóźniam, więc on nie wytrzyma. „Wobec powyższego — odpowiedziałam mu stuknąwszy parasolką — pan będzie łaskaw pamiętać, że ja przed wojną pracowałam u Braci Jabłkowskich!”.

No i co? — zaciekawił się drugi mecenas. Ksiądz jadł.

Possesed jak zmył — wy-seplenila dama kładąc na talerz smażone półkureczki.

O tak, tak — zaczął konfiden-dencjonalnie nauczyciel. I kiedy puścił w ruch języki, kiedy obrobili kolejkę przed sklepami i brak butów na stoninie, kiedy „ach, proszę pani, to współzawodniczo”, kiedy przemacerowali małżeństwo Isi, Sisi i Pisi, kiedy posłali wszystkie węgiel, zboże, maszyny i stoninę tam, do Moskali, kiedy w Nowej Hucie otworzyli fabrykę odrzutowców, a w Cementowni Rejowiec — skład bomb atomowych, kiedy już w roku 49, panie, uśmie-cilił Stalina — Sewer był głęboko wdzięczny przygluchemu lekarzowi za to, że wstał i włączył „Wolną Europę” Ksiądz jadł.

11.

SKODA, że się nie zdecydowa- wał. Przy takiej złoce, musiałem najać inną żalocę”. Sewer nie znośił oczekiwania na listy. Gdy tylko zdarzyło mu się posłać coś ze swojej pisaniny jakimś redakcją, czybał od tej chwili na listonosza i siedząc w domu z napięciem nasłuchiwał charakterystycznego brzęku metalowej zastawki, którą należało unieść, by wpuścić list do skrzynki. Ponieważ już trzy redakcje nie odpowiadały — a jedna z nich była nader solidną redakcją — Sewer wierzcił się po pokoju i zamiast kuć szperal niechętnie w notatkach. Gdyby nie pocztowa godzina,

rzuciłby to wszystko i wyszedłby na miasto. A tak — ziewnąwszy — wychodził tylko na balkon pływając na fali rozkwitłych wiśni i jabłoni. Oparty o burtę, nadstawał twarz chłodnej brzyzie, która lekko unosiła płatki wonnej piany i pozwalała im spływać na pokład. Były to Sewerowe co wiosenne wyprawy w świat siedmiu mórz, porzucony z nienacka i z nienacka powracający — wbrew wszelkim równoleżnikom — w rzeki ranek wczesnej wiosny. Małenkie, pomurze zimną altany i szopy, gdzie składano węgiel, wylaniaty się teraz spoza cichego w swej bieli falowania — zieleńi spokojnych archipelagów. Wróble, unurzane w morskiej pianie, rozgwarem przypominały mewy, lotem — fruujące rybki, co niosą się tuż nad powierzchni morza w błysku srebrnych skrzydełek. Statek kołysał się miarowo, gdy bryza słabła.

„You may be surprised that I write in English but that's the unavoidable precaution... Słowa te, w języku, który pachniał solą siedmiu mórz, spadały na Sewera, gdy za oknem przesiadała się zima, a balkon stał zakotwiczony w mętym doku. Był jak wotanie od strony, które już dawno porzucił, jak myślny sygnał wzywający na szeroką przestrzeń oceanu, która — gdy pojsz za nim — okazywała się zamuloną, biotną mielizną. Dłż Sewer wiedział o tym na pewno. Ale wówczas, gdy sygnał przyszedł, był zdezorientowany. W sygnale bowiem szemrało coś z mowy siedmiu mórz, kuszącej na powrót wódczów i zeglarzy, których powrocią innemu życiu trwała przystań. You may be surprised... Oczywiście, był zdumiony ceną, jaką wymagano, by zapłacić za powrót na wódczok. Skalkulowaną w szwajcarskich frankach, przeliczoną na funty szterlingi. Głosem agenta okrętowego wzywano go na wolność. Głosem siedmiu mórz wotano, by wrócić. Trzeba było długich noc, gdy zimą za oknem przegrywała z wlosną, aby pojał, że bogactwo człowieka leży w tym, iż ma on tylko jeden

zimnych, złudnych siedmiu mórz. Wstał. Podarł te słowa, podarł ten bzdurny zapis zagłady — na drobne strzępy. Wyszedłszy na balkon, cisnął je za burtę. Wzmaga-jąca się bryza niosła pierwszy powiew szkwału.

12.

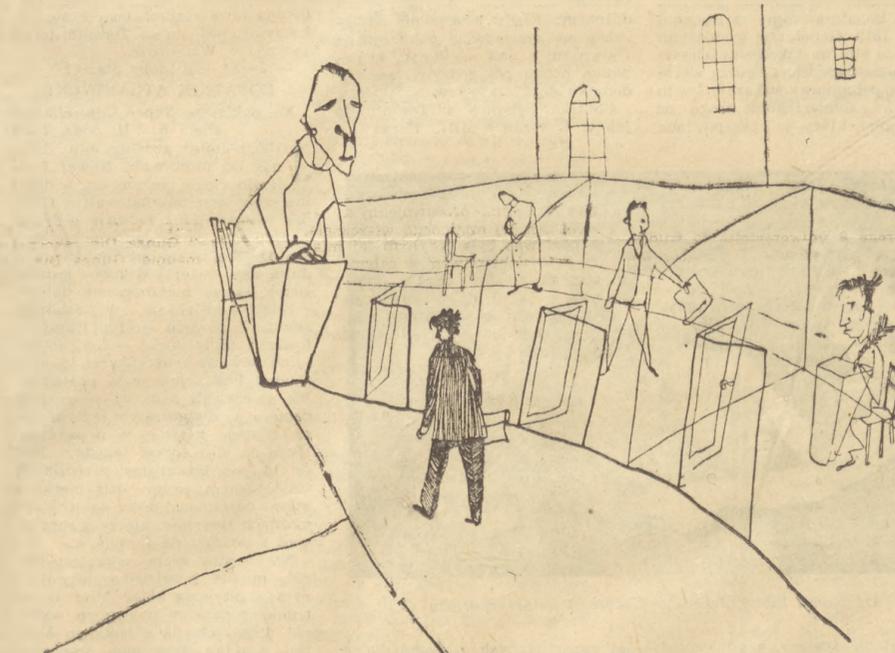
W CZERWCU Sewer kuł do egzaminów. Zaślimaczył się w upalnym już mieszkaniu, spływał potem i przystanęwszy u lustra oceniał wartość szczeciny na brodzie, uzasadniając w pamięci sieć wpływów wioskich oplatając jednego z poetów renesansowej Anglii. Szczecina — choć od tygodnia nie tknięta zyletką — była mierna, lecz sieć wpływów rosła coraz bardziej. Ubiegłymi laty, w okresie przygotowań egzaminacyjnych na zimę i w lecie, grywał dla odprężenia w szachy z kolegą-statystą. Tego jednak czerwca kolega-statysta podróżował z nowozakupionym aparatem po kraju, żeby zebrać — jak mówił — trochę zdjęć do albumu sztuki współczesnej. Był teraz podobno w Nowej Hucie.

Mając przeto jedyną rozrywkę w liczeniu włosów na brodzie, Sewer wyraźnie się ucieszył z niespodziewanej wizyty Zbyszkiowej. Po dyplomie, który zdobył własnym dowcipem i światłą radą profesorów, Zbyszek odmłodniał, odborsuczał i patrzył trochę na takiego ptaszka, co to czeka wreszcie na życie. Tak się w tym zacie-trzewił, iż po raz pierwszy zapomniał, że całe jego życie nie było niczym więcej jak właśnie czeka-niem na życie.

Patrząc na tę Zbyszkiową meta-moriozję, Sewer podsuwał mu papirosy i zachecał do gadania.

Każdy człowiek może uniknąć swego losu — mówił Zbyszek de- lektując się trafnością słowa. Oknem wpadał jedyny zapach jabłoni. Był to czas, kiedy ludzie mają w krwi wonne ciepło lata.

Sewer rozmarzony i omotany siecią włoskich wpływów leżał na kanapie, od czasu do czasu chwytając uchem Zbyszkiowe rewelacje.



powrót. A jest to powrót do domu. Ze człowiek winien służyć jednemu prawu. A jest to suwerenne prawo jego domu. Podniecająca sól siedmiu mórz, gdy ją wziąć w usta, była gorzka, skuteczniejsza niż wyniotnik lekarski.

„Może się zdziwisz — odpowiadał — że piszę po polsku, ale dla tyłch, co zrozumieli wartość zgody na dom, w którym żyją, ostrożność przestaje być nieodzowna... Gdy to pisał, za oknem pojawiły się pierwsze białe płatki na wczesnej fali wiosennego oceanu.

Szkoda, że się nie zdecydowałeś — odpowiedziano mu z centrali okrętowej. — Przy takiej złoce musiałem najać inną żalocę... Najać — to słowo dopiero teraz ujawniło się brutalne i nagie. Przedtem — spowite w kokon słów o wolności, słów o walce, słów o odwadze, spowite tak przemysłnie, sugerowało nagrodę za służbę s p r a w i e. Teraz było tylko pańskim żołdem dla najemników. Dla oślepyłch strażców, których w podtej krępie kierowano na zwykłą mieliznę, aby stary rajfur, agent okrętowy, mógł wziąć prowizję za ubezpieczenie... Najalem nawet kapitana...

Sewer patrzył w te słowa, w ten bzdurny szyfr, który wyjął dziś ze skrzynki zamiast listu z redakcji, w ten wyrok zagłady na kilku młodych chłopców z tego miasta, którego ulicami chodził co dzień, z tego uniwersytetu, którego korytarzami chodził co dzień, miłość do tego kraju, którego się wyrzekali dla

— Nie rozumiesz? He, he, to zrozumiesz, jak poznasz całość. Ale samo zakończenie, co o nim powiesz?

— Powiem, że przemilczę.

— Czemu?

— U diaska, zrozum, że c z y s t e ręce i b r u d n e ręce to...

— Ale jak napiszę całość?...

— No, jak napiszesz całość...

Oknem wpadła pszczoła i buzując przysiadła na jaskrach mieszczaiskiego dywanu. Jej odwlok poruszał się rytmicznie, jakby naprawdę odkryła czułek nektaru w pokładach kurzu tandetnej tkaniny. Sewer ziewnął szeroko, zapadając znów w sieć wpływów.

— Jak napiszesz całość — mruknął — to ja założę... pasiekę.

13.

SIEDZIELI nad morzem blisko dwa tygodnie, kiedy nadjechała samowarkowa kolejką spóźniona koleżanka od humoresek. Naręczał plotek, które przywoziła, starczyła na dobrych kilka dni wakacyjnej sioty, nawiedzającej rok rocznie wybrzeża w okresie letnim. Deszczyk ciał muzyczką po dachach, myślał dniem i nocy, aż plotki do cna wyblakły, a groźszoze romanse Szpyrkówny, którymi pęczniała miejscowa biblioteka, przestały śmieszyć. Straszły. Słońce odeszło ku lepszym planetom; rybacy, którym grabiały ręce, kleli na zimno.

Któręgś wieczoru koleżanka od humoresek naciągnęła Sewera na kąpiel. Ze nity o tej porze dnia woda jest młno wszystko najcieplejsza. Tańczył jak poparzeni w arcytecznym morzu, aż samotny rybak na moio wdrzygnął się, spłunął, naciągnął kaptur i poszedł do gospody. Kiedy im wreszcie szczęki odmówiły posłuszeństwa, wrócili na brzeg.

Swoją drogą — powiedziała koleżanka od humoresek, nacierając się do rumieńców ręcznikiem — to musi być cholernie zimno utopić się, co?

Aha — mruknął Sewer nurkując mokrą głową w sweter.

Tak choćby, jak ten kolega-statysta — powiedziała wyzymając obmotkę warkocze koleżanka od humoresek.

Co ty pleciesz. Jaki statysta?

No ten, co się utopił.

Czyż ty zwariowała? — Sewer złapał ją za rękę.

— Trzy lata, ojciec.

— I żalujesz za wszystkie swoje grzechy?

— Żaluję, ojciec.

U krakie trzepotał oddech, u nisz okiennych — świergot wieczornych ptaków.

— A czemuś się teraz zdecydował?

— Nie mogłem inaczej, ojciec.

— Pomyśl. A jeśli ci będzie źle?

— Nie może być gorzej niż jest, ojciec.

— Gorzej... nie, ale jeśli trudniej? Jeśli ci będzie trudno? Właśnie... trudno? Łudź się od siebie odwróć. Powiedzą, że się zawiedli. Jeśli przestaną cię rozumieć?

— Nie myślałem, ojciec, ale chciałbym żyć tak, jak powinienem. Nie unikać własnego... losu.

— A co nazywasz losem?

— Powołanie.

— Czy powołanie, jakie Bóg nas nałożył?

— Tak.

— A miłujesz ty, bracie?

— Nie rozumiem...

— Miłujesz ty to powołanie?

— Myślę raczej, że nie mam.

Odezwały się organy, guszając szeslet zapóźnionych stóp, spuszcanych na wieczorne nabożeństwo.

— Stucham? — spytał Sewer.

— Bózanec... znasz?

— Nie bardzo.

— Za pokutę odmawiaj codziennie... rozaniec.

15.

ZBYSZEK wiercił się po pokoju. Dreptał pospiesznie, przystawał. Policzki mu paliły, biady. Siadał i zrywał się znów na równe nogi. I cmoktał: Nie, nie, nie. Nie wolno ci było tak napisać. Nie.

Czemu? — spytał Sewer gryząc papierosa.

Czemu? Bo to nieprawda. Bo krzywdził ludzi! Bo wcale tak nie było! Kalasz uniwersytet!

Sewer strzepnął popioł na podłogę.

No, no, proszę, mów... dalej. Zbyszek sapnął i opadł w krzeselko. Skośnymi oczkami szarował przeciwnika. Wypięki przywarły mu do kosci polokówkich.

Sewerku, zrozum, tak nie wolno... Ja bym tego rigdy nie publikował. To, co napisales, zrozum, to... krzywdząca przecada. Bić w uniwersytet! I to... ty, dziecku?

Wolałbyś — mruknął Sewer — aby ktoś inny uderzył?

Zbyszek znów dreptał po pokoju.

Niczego bym nie wolał. Tylko po coś ty to zrobił? No, po co? Komu to pomoże, komu się przyda?

W każdym razie — burknął Sewer — t o b i e się przydało.

Zbyszek skrasniał. Czym prędzej przełamał papierosa i wetknął go w astmalyczną łufkę. Potarł zapałkę, ale główka się utamała.

Zrozum — stuknął ręką w rozpostartą gazetę. — Zrozum — zatabaczony pauc wymierzyl w jeden z artykułów — z każdą t a k a rzeczą ty się konczył!

W czyich oczach?

Sapnął. Strzelił zezikiem w Sewera. Rozłożył ręce.

W ogóle. W ogóle... się kończy.

No, to by była jeszcze kwestia... — powiedział Sewer wstając i gasząc papierosa.

Nie ma żadnych kwestii — cmoktał. Nie wolno. Skrzywdziłeś ludzi. Nie wolno...

A czy ci ludzie — powiedział Sewer wciągając piaszcz — innych nie krzywdzili?!

To nie twoja sprawa!

...Albo czy nie krzywdzili również samych siebie?... Zresztą, nie wiem — mruknął — tyle lat czekałem na to opowiadanie?

Jakie opowiadanie? — zdumiał się Zbyszek.

Twoje opowiadanie.

Moje?

Twoje. Tak, twoje opowiadanie. O urojonych ludziach i urojonym mieście. O środowisku... a-ka-de-mic-kim. Twoje opowiadanie. Czytales mi wstęp, czytales mi zakończenie, tylko że brakowało środka. Otóż t o, b r a k o w a ł o ś r ó d k a!

Więc ty myślisz, że to, to... ma być uzupełnienie?

Ja nie nie myślę. Bywaj zdrow.

Poczekaj... Nie rozumiesz...

Nie wiem, kto z nas nie rozumie. Nic a nic. Bywaj zdrow.

Siedząc w taksówce, Sewer jeszcze w zdenerwowaniu masował twarz dłońią. Od rana biegał jak ogdułpiy po mieście, zbierając podpisy profesorów i wykładowców pod protestacyjnym apelem. By odetchnąć, wpadł na chwilę do Zbyszki. No i tak... O szych takowski tłukły liście. Domy nad ulicą biegly krzywo, zakosami. Z nagła rozszumiał się ogród zwany saskim. Na skwerku, spoza jesiennego żywoplotu, błysnęła tablica pomordowanych za okupacji partyzantów. Apel był wymierzony w przyszłość. Szofer, mocując się z wiatrem, uchylił drzwiczki, zmarszczył czoło i mruknął: Paskudna pogoda.

Czekając w zakamarkach polonistycznych, obok pokoju dla profesorów, Sewer jeszcze pocierał twarz dłońią. Profesor — błyskawica, którego chciał prosić o podpis pod apelem, przyjmował właśnie za podwojnymi drzwiami. O tej porze ciemnym korytarzem mało

dokończył na str. 7

14.

...to ile lat nie byłes u spowiedzi?

TRZECI lipca wypadł w niedzielę i Bill Nedbalnik (nie mieszać z Billem z Bukaresztu i Dużym Billem) zaproponował nam wycieczkę do Niagary, oddalonej nie więcej niż sto kilometrów od Toronto. Jarek nie mógł, niestety, jechać z nami, bo spodziewaliśmy się odlotu w poniedziałek, a trzeba było jeszcze zorientować się w tutejszych przygotowaniach przedfestiwalowych. Różowy „Pontiac” Billa był otwartym kabrioletem, co przysparzało dodatkowego uroku jeździe w ten upalny ranek. Chłodzenie szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę chwytałyśmy w płuca zalatujący benzyną cierpki oddech mijanych sadów i winnic. Autostrada, nagrzana do białości, mrużyła nam oczy, radość skakała do gardła.

Przez ten najbardziej owocowy z kanadyjskich pejzaży — wojażowaliśmy w czwórce: Libby, Bill, Stan i ja.

Stan zupełnie dobrze mówił po polsku, choć swojej pierwszej ojczyźnie nigdy nie oglądał. Obydwaj chłopcy byli na Festiwalu w Berlinie i popisywali się piosenkami, których się wtedy nauczyli.

Bill był zakochany w swoim nowitankim wozie i bezskutecznie próbował mnie wtajemniczyć w jakieś specjalnie imponujące szczegóły jego konstrukcji. Stan podkpiwał z przyjaciela, że kabriolet na sroga, kanadyjską zimę wart jest niewiele, a w dodatku, kto tam wie, jak sobie Bill poradzi z terminową spłatą.

Kiedys speaker montrealskiego radio ogłosił, że ofiaruje 100 dolarów dla właściciela całkowicie opłaconego wozu, który się w ciągu godziny zgłosi do studio. Oczywiście nikt nie przyszedł — ironizuje Stan. W tej dyskusji jest spora przesada — ciągnie — bo na przykład ja — wszystkie raty uściłem. Ale tkwiące w anegdotce ziarno prawdy — rzeczywistość obrazuje sytuację typowo.

Firma, wypuszczająca nowy model wozu, stara się nabywcę maksymalnie obdziwić: model zeszlaczony i proponuje sprzedaż nowego zamian za oddanie wraz z „minimalną” dopłatą zeszlaczoraczki, „staryszka”. Chętnych zawsze znajduje się bardzo wielu i w rezultacie ludzie nieustannie tkwią w sieci ratalnych zobowiązań.

Daleki, narastający szum i powietrze orzeźwiająco-mokre. W powozi innych samochodów suniemy wolno, równoległe do rzeki i spadającego ku niej, kwietnymi tarasami, miastami. Masywna ściana śnieżnojasnego, spienionego loskotu, wyrastająca na przeciwnym brzegu — to wodospad amerykański.

Miasto Niagary jest przepołowione rzeką i państwową granicą biegnącą jej środkiem. Nie ryzykujemy przedostania się żelaznym mostem na drugi brzeg, gdyż tylko obywateli kanadyjscy mogą bez wiz odwiedzać Stany.

Nie ma zmarwienia — pociesza Libby — zaraz zobaczysz wodospad kanadyjski, który jest większy i ładniejszy od amerykańskiego.

Słońce tak praży, że z wdzięcznością poddajemy się dobroczynnemu natryskowi wodospadu. Chociaż bowiem stoimy oddzielni od niego całą szerokością rzeki — jest tak, jakby ktoś na nas dmuchał wodą przez rozpylacz.

Spadające zupełnie prostopadle stupy wodne roztrząskują się na skałe i burzliwa miazga zdaje się wędrować z powrotem w górę. Luneta potwierdza narzucające się oku zjawisko pozornie dwukierunkowego ruchu wodnej masy. Nocą oświetla się wodospady kolorowymi reflektorami — przypomina Stan.

Sznurek lóżytek kukielek na amerykańskim brzegu to turyści ubrani w wodochronne kombinезony, podjeżdżający statkiem lub kolejką pod sam wodospad.

Do, oddalonego o kilkadziesiąt metrów stąd, wodospadu kanadyjskiego jedziemy przez park z golonymi trawnikami, strzyżonymi żywopłotami, symetrycznymi rabatami i wyportkami wodotrysków. Nad zieloną cembrowiną małej sadzawki baraszkują murzynskie rodzeństwo. Siostra rzuciła do wody błyszczący pieniążek, braciśkie nie rozumiejący widocznie, że gra idzie o szczęście, stara się go gwałtownie wydobyć z powrotem. Zapach róż, pływacy z pobliskiego rosarium, wąż się do orzeźwiającego woni rozgarnianej wody.

Kanadyjski wodospad rzeczywistości robi potężniejsze wrażenie od amerykańskiego. Jego przekrój ma kształt podkowy, skutkiem czego w półokrągłą podstawę skalistego leja uderza woda z wielu stron jednocześnie. Powstający obłok niemal całkowicie przesłania środek podkwy i widzi się tylko spadanie wody z jej obrysu cęgów.

Po kanadyjskiej stronie wykuto w skałe opatrzony oknami i krużgankami chodnik, stykający się prawie z lewym ramieniem wodospadu. Zjeżdżamy tam windą i z coraz to bliższego krużganka przyglądamy się tajemniczemu zeknieciu wodnego młota z kamiennym dnem rzeki.

Użyj powoli nawykając do grzmieckiego szumu, ale gwałtowny spadek temperatury sprawia, że z ulgą odpuszczamy wilgotny, mroczny korytarz.

Niagara jest tak przepelniona turystami z Kanady i Stanów, że trzeba długo ślezc w koleje, przed którąś z nadbrzeżnych restauracji, nim się dostanie cokolwiek do zjedzenia. Postanawiamy szukać jakiejś przydrożnej gospody za miastem.

Do „obaczenia, Niagaro!” Rzeka, której za chwilę zostanie oderwane łożysko i ustawione kilkadziesiąt metrów niżej, płynie tak

spokojnie, jakby nie domyślała się wcale, że za sekundę zmieni się w pieśń, karzącą skały za tektoniczne dowcipy.

PAUZA

MIJAMY grzędę zielono malowanych, drewnianych willi, wynajmowanych specjalnie młodym małżeństwom.

Mieszkałem w Niagarze zaraz po ślubie — opowiada Libby. Wiecznie napięte rysy jej zaafektowanej twarzy łagodnieją, a skupiony wzrok nasłonecznia rozmarzenie. Boże, jak ona wypoczywa!

W tej chwili Libby jest zaprzeczeniem swego dotychczasowego stylu społeczny, aktywistki, organizatorki. Nie potrzebuje nadzorować ostatniej korekty numeru, trapić się szukaniami po znajomych noclegu dla nowej partii bezrobotnych „kaczka”, przejmować — nieudany strażnikiem, w którymś z torontońskich zakładów. Nic jej nie jest wiadomo, że znowu przybyli polscy czy czeszy „dipiści” z Niemiec zachodnich, którzy z błogosławiającą wdzięcznością przyjmują pracę na każdych warunkach, dyktowanych przez właściciela. Przeksiały tym samym wielomiesięczne solidarne starania miejscowego związku o przyzwoite wynagrodzenie i powiększą cyfrę ludzi zbędnych w rodzaju ex-marynarza Billa, czy Jerry’ego, którego ojciec się pokłada.

Libby myśli zapewne o swoim młodym, przystojnym mężu, którego poznałem w Camp Palermo, też naszym w pracy społecznej i widzielnym od święta, o różach spod wodospadu, o zielonej cembrowinie sadzawki, przynoszącej szczęście za opłatą nie większą od srebrnego pieniążka.

Dzisiaj jest nasz weekend. Dzisiaj my się bawimy.

Gospody wciąż szukamy daremnie. A tymczasem znaleźliśmy się w całkiem nieznanym Billowi okolicy. To najbardziej ekskluzywna część Niagary-parku, rozciągająca się na trzydzieści pięć mil między jeziorami Ontario i Erie wzdłuż rzeki Niagary. Po przestronnych polach golfowych przechadzają się, w pogoni za cennie wybitą kulią, energiczni starsi panowie, panie urzekające prostotą tak pielęgnowaną i nieosiągalną jak angielski trawnik, młodzi ludzie, których niefrastrasobliwie myślowa elegancja jest wynikiem wielu lat najnudniejszej tresury. O parę metrów za nimi postępują objuczeni iście kłój, kul i składanych w lasce — krzesłek.

Dojeżdżamy do pomnika generała Brocka, bohatera wojny ze Stanami z roku 1812. Generał w graniastym kapeluszu stoi na kilkadziesiątmetrowym postumencie i twarzą zwrócony ku południowi wskazuje swym chwackim żołnierzom drogę na Waszyngton, który, jak przepowiada



Od lewej: Libby, Jarosław Ładosz i autor reportażu

Bill, zostanie spalony, a gdy wśród osomolonych ruin wzniesie się nową siedzibę dla prezydenta, nazwie się ją, jako kontrastującą z otoczeniem, r e z o s t a... Białym Domem. Nie opodal mocno zdezaktualizowanego pomnika — przytulny cottage, jakby żywym wycięty z ilustrowanego magazynu, zajmującego się podglądaniem obyczajów high life’u. Dyskretnie uwalniony dżikiem winem napis Restaurant i surowa skromność elewacji wiejskiego dworku napawają mnie jak najbardziej złowieszczymi przecuciami co do cennika, który tu musi i obowiązywać. Ale Libby wspaniałomyślnie pozwala szarżować dziś na całego.

Z obojętnością stałych bywalców kroczymy w ślad za wytworną patronką pensjonatu wśród stolików, uginających się pod ciężarem sreber i szkieł.

„Specjalnie” dla nas znalazło się miejsce na ciemnym tarasie, skąd rozpościerał się w promieniu kilku mil nieurównany widok na rzekę Niagarę, płynącą u podnóża wzniesienia, na którym przysiadła restauracja. Przepraszam, Queenston Heights Restaurant, gwoli ścisłości.

Moje przecucia cennikowe nie zawiodły. Płat wolnoży niezależnie od sposobu przyrządzenia kosztował od dwóch i pół do czterech dolarów. A przystawki... Zapominasz o rzecie, to przede wszystkim, jej widok wchodzi do menu — uspokajał Stan.

Przystąpiłem do jedzenia dopiero po ważnym przestudiowaniu, jak partnerzy od góła radzą sobie przy sąsiednim stoliku z czterema nożami, pięcioma łyżkami i trzema widelcami. Libby, Stan i Bill pokonywali analogiczny brak treningu, po czym na umówiony znak parsknęliśmy jednocześnie gromkim śmiechem niezblazowanych barbarzyńców. Nie peszyły nas ani trochę, wprawdzie kamuflujące zdziwienie, zaciekawione miny sąsiadów. Śmieśliśmy się coraz głośniejszymi, świadomi drugoczącej przewagi nad istotami,

KANADA

w
m
g
n
i
e
n
i
u
o
k
a

którym przyzwyczajenie musiało zastępować mocny smak rozrywki.

ZIELEŃ ODRASTAJĄCA

DO Toronto gnaliśmy na leb na d szycie, bo od dwudziestej trzeciej odchodził pociąg do Ottawy, a jeszcze czekało nas pożegnalne przyjęcie u chłopców chińskich.

Jako „ofiary rewolucji” przybyli tu przed trzema laty sprowadzeni przez zamożnych krewnych. Sielanka rodzinna trwała kilka miesięcy, aż chłopcy z Taiwanu i Hong-Kongu skrzyknęli się i założyli wspólnotę. Zamieszkałi pod jednym dachem, a ponieważ na szesdziesiąciu pięciu członków kolektywu, trzynaścioro nie ma pracy — zarobki pozostałych składane są do jednej puli i dzielone równo między wszystkich.

Niektórzy, harując od 10 do 14 godzin na dobę — otrzymują wcale nie tyle wynagrodzenia, lecz egoistyczne urządzenie się na własną rękę jest ostatnim z pomysłów, na jaki by wpadli.

Przewodniczący Labor Youth-Steve Endicott, którego ojciec był misjonarzem w Chinach, mistrzowsko pośredniczy w naszych rozmowach, toczonych równocześnie w czterech językach. Staramy się z Jarkiem wzajemnie dystansować w przytaczaniu faktów, ilustrujących polsko-chińskie kontakty. Jarek opowiada o tournée Mazowsza, wymianie studentów między Warszawą a Pekinem, niedawnej wizycie wicepremiera Peng-Teh-heia. Odwzajemniam się relacją z wiecu w Hali Gwardii, gdzie widziałem Czu En-laia oraz wiadomości o przygotowywanej przez Żukrowskiego powieści o Wielkim Marszu i pobycie w Pekinie ks. ks. Suwały, Kellera i Wojtki Kętrzyńskiego. Jeden — zero dla ciebie — kapitułuje Jarek. Tym Czu-En-laem zupełnie mnie pognębił.

Ja, tymczasem czuję jak kosała przepuszczona przez wyżmączkę, a kolana mam z wely. Dopiero pomarańcze, kawony i gorzka chińska herbata powalają mi trochę ochłonąć po jednej z najbardziej szalonych przygod jakich doznałem. Nigdy jeszcze nie odważyłem się przemawiać publicznie po francusku, a dziś nie dosyć, że mówię ponad pół godziny, lecz w dodatku do Chińczyków.

Chińska świetlica w Toronto, to jak w Warszawie MDK. Coraz wię-

supiał się w grzły nienawiści, zmieniał w bezsilną nostalgiją lub w ołuszczyjącą serca sytość.

Wirują kolorowe kule, przesuwa się jak na taśmie twarze. Twarze zapamiętane, widziane i te, które jeszcze zobacze.

Siostrzeniec banderowski rezu-nów Bill Nedbalnik stoi w niebieskich spodniach z przepisowym mankiem, indiańskich mokasyń i trykotowej koszuli przywieszonym Pontiacu i spod szerokiego ronda traperskiego kapelusza posyła nam uśmiech, który jest krystalizacją pomocnej dobroci. Z poblazaniem, będącym przeciwstawieniem tolerancji, a wynikającym wyłącznie z ogromnego dystansu zdobytego doświadczenia i poczyni-nych przemyśleń — opowiada o bracie matki, który przyjechał do siostry z Niemiec zachodnich. Sławi kacytę i odgraża się, że szwagrow i ich dzieci będzie rezał, bo „nie chcą wojny, więc są przekleci komuniści”. — Wol, durak — konstatuje pogardliwie Bill — a nasze spod Bóbrki pisaly, że tam przez pięć lat gospodarstwo na niego czekało i nikt go nie zajmował bo dumały, że może wujek wróci.

Sierota po wojuku Czang-Kai-szeka śpiewa piosenkę o Mao.

Sliczna polska dziewczynka z najświeższej emigracji zdecydowanym gestem przypina do żółtej bluzki festiwalowy znaczek warszawski z niebieską syreną i śnieżnym gołębkiem.

Córka nobilitowanego przez business wygnana z łódzkiej Bałutów — wybiera kamienistą ścieżkę walki o prawa dla wydziedziczonych.

Libby, Stev i nowy chiński przyjaciel odprowadzają nas aż do przedziału. Weź to Nicolai. J. S. Wallace, to jeden z najlepszych kanadyjskich poetów, a poza tym on jest także trochę Twój, no: katolik. — Libby mnie nerwowo cieni, brzo-woy tomik zatytułowany: ALL MY BROTHERS. — Napięte rysy stanowejce buzi znowu wiotczą, ale to już nie jest tamto, spokojne rozmarzenie.

Dowidzenia Libby, dzielna, serdeczna towarzysko! Jeszcze się zobaczymy, jeśli nie w Toronto, to na pewno w Warszawie.

— Jarek, czy Libby płacze? — NOTATNIK ATLANTYCKI

Na pokładzie Super Constellation sroda 6. VII. godz. 18.20

JUŻ półtorej godziny lotu dzieli nas od Montrealu. Nowej Fundlandii ciągle jeszcze nie widać i nie sądzę, żebyśmy lądowali w Gander wcześniej niż za dwie godziny. Znajdujemy się przypuszczalnie bardzo wysoko, bo od obłoków lecących dużo, dużo niżej pod nami jest do ziemi jeszcze nieskończenie daleko.

Bilety dostaliśmy w ostatniej chwili. Z powodu strajku transportowców brytyjskich — na liniach samolotowych i okrętowych panuje solidny tłok i jeszcze w poniedziałek obcywalu nam wolne miejsca dopiero po dwudziestym ósmym lipca. Dlatego właśnie, w przeciwieństwie do lotu sprzed tygodnia, kiedy to podróżywalimy przedziałem turystycznym, lecimy dziś pierwszą klasą, odstąpioną przez jakichś zamożnych turystów, którzy zrezygnowali z podróży do Europy.

Nie bardzo wiem, jaka jest różnica między przedziałem turystycznym a pierwszą klasą. Może tak, że trunki podają w dowolnym wyborze. Przed chwilą chlepiełem Martini, a teraz znowu nam proponują Scotch, wino reńskie lub szampana. Odmawiamy ze skromnością dobrze ułożonych młodzieńców.

Pod nami jakieś góry szczerze pokryte lasem. Kiedy stąd wygląda jak mech. Słońce w lewe ucho. Mijamy obłok przypominający ogromną głowę kapusty. Mocno sfaldowaną ziemię widać teraz tylko w rzucie pionowym. W rzutach ukośnych niebo za mgłą? woda?

Kiedy histeryzowałem, gdy mnie wsadzono na kica — pocieszano: do nieba, nie polecisz — i mały człowiek odzyskiwał równowagę ducha. Dlaczego? Jakbym reagował w tej chwili — duży człowiek nad dużą wodą?

Pod nami płat rzeki koloru gorącej lawy. Teraz ocean. Jest 18.55. Steward przytomocjuje stolik. Nie chce mi się jeść. Przypuszczam, że tu nie chodzi tylko o brak apetytu, a jednak emocje są mniejsze niż przy pierwszym skoku przez Atlantyk. Wszak, ziemię pożegnany definitywnie dopiero w Gander.

Uga lądu czy mielizna? Jesteśmy chyba nad Nową Fundlandią! Krajobraz typowy dla niej. Omyłka. Znowu ocean.

W międzyczasie dał jakąś bogatą rybę i słońce zaczęło zachodzić. Pomarańcze, seledyn... o, teraz torfowisko ladu! Niesztyt zostaje po lewej stronie. Ścigane słońce, którego tylko dlatego nie widzę ponieważ że zakryły chmury, nasświetla na perłowo niszne obłoki polichromowane jakby od wewnątrz.

Na lekko pomarszczonym i dotąd statycznym oceanie — pióropuski balwanów. Dymki niby z armatek dla olowianych żołnierzów.

Ryby nie dokończyłem i do niedawna sądziłem, że na nic prócz lądu w ogóle nie mam ochoty. Na nic — w porządku sentymentalnym. Zresztą wszystkie, rozgrywające w normalnych okolicznościach prawa obowiązują nadił w „porządku” rozum i woli. Jednak odbarwione



Od lewej — Bill, Libby, Stan



„Jako „ofiary rewolucji” przybyli tu przed trzema laty...”

chemicznie z otoczki uczuciowej nawet nie ziębią. Wyłącznie z o b o w i a z u j a.

Zdaje się, to Wisława Szymborska pisała, że jesteście tyle wari ilę nas sprawdzono. Zgoda, ale przeciwświadzenie, że „w razie czego”, potrafimy na pewno zachować twarz nie daje nad oceanem najmniejszej satysfakcji: Potrafimy, tak i cóż z tego? Chociaż... Czy rzeczywistości ściśle opisuje? To tylko ogólne wyobrażenia przyjaźni, miłości czy wierności nie grzeją. A wystarczy konkretnie pomyśleć o konkretnych ludziach — i tyle ciepła! Na przykład: Jerry. Na przykład: Bill. Na przykład dziewczyna na lotnisku z mądrym spokojem, oliwkową twarzą i taką umiejętnością pojmovania całkiem nowych i jakże niełatwych spraw.

Jarek „ma” lepiej: „Mam takie zaufanie do techniki!”

— A, ja ciągle jestem z epoki kamiennej i bezpośrednio mnie to obchodzi, że choć znajdujemy się na bardzo dużej wysokości, jeszcze przelatują nad nami szare, zwarte chmury.

Pijemy z koleji wino czerwone. Wyrafinowana ceremonia tego permanentnego posiłku chyba na tym polega, żebyśmy się wciąż nie zastanawiali: kiedy wreszcie będziemy w Gander, tylko: kiedy podadzą następne danie.

Zaczyna trochę hojdać. Pod kółkami burych chmur jedynie północna obęcz widnokręgu jest zielona. Na zachodzie niebo przekreślone całkiem nieruchomą rdzawą błyskawicą.

Wino jest ciepłe. Teraz podali nagrzane talerze i salate??? Daleko — statek. Słońce na moment oślepia. Podają befa. Jest ogromny i pewnie nie do przelknięcia. Oczywiście — jak przypuszczam.

Od paru minut nad Nową Fundlandią. Jeziora, lasy, łąki, jeziora. Krajobraz księżycowy martwy. Nad północnym brzegiem wyspy kilkanaście kilometrów szeroki biały kożuch. Nadlatujemy nad tę śnieżną baranię i widocznie bardzo poszlizmy w górę, bo niebo nad nami jest oślniewające czyste.

Steward z wyrozumieniem kiwa głową i proponuje lody. Baranica tak zgęstniała, że poprzez tę jedwabniejącą, jak u merynosów wełnę, nie dostrzegam ani rąbka lądu. Grunt, że jest. Jakies gigantyczne jezioro, nad którym baranica się kończy. Statek, jeszcze jeden statek. To chyba ocean: ląd pozostaje na lewo. — A Gander??? Steward wyjaśnia, że tym razem nigdzie się nie zatrzymujemy. Lecimy prosto do Londynu. A więc jeszcze osiem do dziewięciu godzin podróży. Czuję się jak po solennej, niedotrzymanej obietnicy.

Na oceanie wyraźne, wichrowate linie ciemnych piądów. Flora chmur. Pomarańczowa rzeka. Po jednej stronie łąka zasypana śniegiem, po drugiej szwary odbijające się w rzece. Nad nami okropnie bura i ciężka czapa, pod nami wyliniła baranki. Z topniejących lodów smutnie wyczerają kawałki ananasa i mandarynki. Gdy będę po powrocie opowiadał Markowi o podróży do Atlantyk — fragment o nieprzekniętych lodach uzna za prowokację do dowodu, że podróży w ogóle nie było.

A inni? — Prawdopodobnie każdego coś rozdrażni. Przede wszystkim nieumiejętność wysnuwania wniosków ogólnych. Nieumiejętność? — Po siedmiu dniach pobytu na pewno tak. Zawsze niecierpiam racji czaszkowych, a teraz sam padnę ich ofiarą. Nie tylko nie umiem dać syntezę pojęciowej tego co widziałem, ale w dodatku nie mam na to najmniejszej ochoty. Jak wytłumaczyć na przykład, że po drodze z Ollawy do Toronto wzdłuż kilkuset kilometrów puszczy ciągnęły się druty sygnalizujące nietypową własność przywalną, a równocześnie na znajomego imigranta obrazili się sąsiedzi, że swój domek z ogródkiem okolił siatką? Bo w Kanadzie przetrwał obyczaj traperski, że człowiek cieszy się, napotykać drugiego człowieka, więc sąsiedzi mają prawo gwałcić o każdej porze nieistniejącą nietykalskość granicznego home’u.

Albo kult indywidualności i zbiorowe nawyki, czyli Davy Crockets. Davy był sto lat temu odważnym, młodym traperem, jednostką godną ballady. Po filmie Dickensa, jest pastą do zębów, reklamą na każdej wystawie, milionem chłopców w wieku lat trzech do siedemnastu. W sąsiednim przedziale turystycznym leci z mamą do Londynu i właśnie studiuje comics ze swoją autobiografią.

Z weekendami podobnie: Na sobotę i niedzielę m u s i się wyjechać, bo przecież wszyscy wyjeżdżają. Grupa naukowców-indywidualistów postanowiła zrobić wycieczkę krajoznawczą z Montrealu do miasta położonego w Kanadzie północnej. Odległość wyniosła zdaje się około tysiąca mil i żeby zdążyć na poniedziałek do pracy, w godzinę po osiągnięciu celu wędrowki trzeba było wracać. Na analogicznej zasadzie licytują się inni zwolennicy długodystansowych weekendów. Pojutrze wróć z Waszyngtonu, czy skoczyćbyś ze mną do New Yorku?

Albo szeksprrowskie festiwale i znany w całym świecie rewelacyjny teatr „Du Nouveau Monde” zestawiony z równie zetelnym stwierdzeniem, że na dobrą sprawę, kulturalna stolica Kanady Montreal — nie posiada godnego siebie stałego teatru.

Co jest prawdą? Slumsy widziane w Toronto czy specjalne kina przeznaczone dla kierowców, którzy, nie wysiadając z wozu oglądają spektakl?

Lib lub gorzki problem naszej dwustupięćdziesięcioletniej emigracji... Świadomość go pomnę. Najwyższy czas zalatwiać tę serawę „skuteczniejszymi środkami od prasowych notatek, pisanych w dodatku w oparciu o dane z jedenastej ręki.

W Kanadzie poznałem kilkadziesiąt ludzi. Byli bardziej urzekający od pejzażu, należącego do najpiękniejszych jakie kiedykolwiek oglądałem. Bągalsi od magazynu Simpsona, w którym kupuje się w s z y s t k o prócz szczęścia. Ciekawsi od niestychanie wysokiej cywilizacji technicznej, nad którą chcą panować zamiast jej przyuczyć. Są bliscy nam bardziej niż przypuszczamy. Mamy sobie wzajemnie mnóstwo do powiedzenia.

Mikołaj Rostworowski

POETA BYWA SIĘ NIE TYLKO W LITERATURZE

Opowieść Chiricao

ARTYKUŁY Konrada Eberhardta („Dziś i Jutro” Nr 28 500) i Marii Kamińskiej („Dziś i Jutro” Nr 29-503) są niewątpliwie ciekawymi propozycjami do dyskusji nad nowym utworem Adolfa Rudnickiego: „Złote okna”. Przy ich lekturze odniosłem jednak coraz silniejsze wrażenie, że są to propozycje bardzo skwicowe i niepełne — niepowiązane jakoś z całością twórczości Rudnickiego, traktujące „Złote okna” zbyt autonomicznie. Dlatego poczuwam się do miłego (któż bowiem nie chciałby rozmawiać i pisać o Rudnickim?) obowiązku zabrania głosu w dyskusji.

Problemem naczelnym, który należy omówić z okazji „Złotych okien”, nie jest na pewno, jak to sugeruje Maria Kamińska, sprawa pozytywnego czy negatywnego bohatera — albo (jak na to wskazuje Eberhardt) zagadnienie istnienia takiego bohatera w ogóle. Jeśli przyjmujemy bowiem — co zresztą nabiera cech truizmu — że Adolf Rudnicki jest epikiem, a jego utwory — fragmentami wielkiego eposu naszych lat, zbędna się stanie pogoda za głównym bohaterem tych opowiadań, fragmentów i powieści. Bohaterów eposu jest wielu, ich życia i sprawy są jednakowo ciekawe i ważne — podobnie jak w „Iliadzie” bliski nam jest tak samo Achilles i Hektor, a w „Komedii ludzkiej” Balzaka na tym samym pierwszym planie występuje Lucjan de Rubempré i ojciec Goriot. Właśnie oto chodzi: Adolf Rudnicki niestrudzenie podkreśla w każdej przedmowie do nowego wydania swoich utworów, że pisze wielki epos, maluje wielki obraz „Epoki pieców”, w którego perspektywie, planie, rozmieszczeniu sytuacji i postaci zorientować się będzie można dopiero po jego zakończeniu. Dlatego każdy utwór, który powstaje pod piórem Rudnickiego, rzuca nowe światło na inne, już napisane cziony wielkiego eposu.

Otóż to: mam dużą pretensję do Konrada Eberhardta, a mniejszą do Marii Kamińskiej, że ich artykuły nie wydoły, więcej: nie próbowały wydoły tego nowego tonu, jaki po „Złotych oknach” słyszemy w harmonii prozy Rudnickiego. Utwór ten przecież wiąże się w sposób bardzo zasadniczy z dwiema głównymi osiami konstrukcyjnymi „Epoki pieców”: polską tragedią narodu żydowskiego lat 1939—45 i — brzmiąca zresztą u Rudnickiego bardzo osobistymi akcentami — sprawą odpowiedzialności artysty za swoje powołanie, zagadnieniem etyki pisarskiej. Dwa te zagadnienia zyskały w „Złotych oknach” nie tylko nowy aspekt, ale i — zwłaszcza sprawa etyki pisarskiej — nowe znaczenie, zostały spięte niespodziewanie bardzo zwartą i dopasowaną kłamażką ideową.

„Złote okna” — to powstanie przez Rudnickiego po raz pierwszy w sposób wyraźny sprawy powstania w getcie, sprawy zbrojnej obrony Żydów polskich przed barbarzyństwem faszystowskim. Stawiało się nieraz Rudnickiemu zarzuty, że sprawy tej rozmyślił niejako unika, że zajmuje się gło-

nie bierną, męczenniczą, może nawet „cierpiętniczą”, reakcją polskiego żydostwa na prześladowanie hitlerowców. Miałem już wtedy wrażenie — a po „Złotych oknach” jestem pewny — że Adolf Rudnicki wyważa proporcje, zarysowuje tło, ekspozycję sprawy przed przystąpieniem do jej naszkicowania. Waga i wartość powstania w getcie warszawskim jest nie do pojęcia, jeśli się nie uświadomi sobie braku przygotowania ogółu Żydów — ba! ogółu ludzkości — na ten straszliwy kataklizm antyhumanistycznego bestialstwa, jaki się rozegrał na naszych ziemiach w latach 1939 — 45. Trzeba było przedtem pokazać ludzi zaskoczonych, ludzi przerażonych, ludzi (w takim określeniu nie kryje się bynajmniej jakieś oskarżenie ich postawy) w ten czy inny sposób niedorodzonych do „Epoki pieców” — ażeby potem zrozumieć, na czym polegało rzetelne, ludzkie bohaterstwo walki Adama — Abrahama i Józefa Klona, bohaterstwa poświęcenia Aleksandra. „Złote okna” pokazują dowodnie, że powstanie w getcie warszawskim nie było tylko czynem rozpacz, nie było samobójczym aktem myszy zamkniętej w pułapce — że, przeciwnie, było faktem nieodzownym i koniecznym po to, aby tragedia Żydów w Polsce stała się naprawdę tragedią, czyli czymś, co nie idzie na marne, co uwzniośla, uszlachetnia, pomaga tym, którzy o niej pamiętają. To właśnie jest nowy ton, który wnoszą „Złote okna” do opowieści Rudnickiego o losach Żydów polskich w latach 1939—45 — o losach ludzkości w tym czasie.

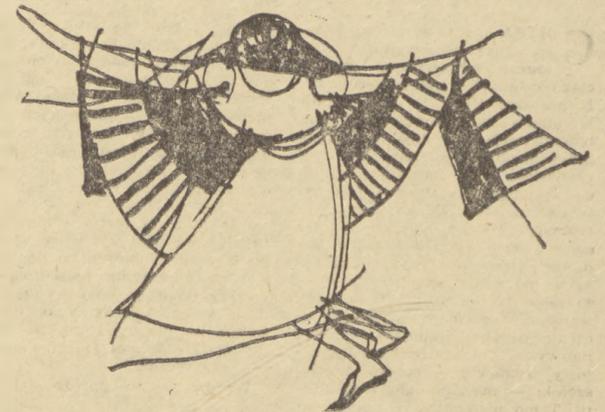
ADOLF Rudnicki w każdym swoim utworze rozprawia się nie tylko z sensem własnej epoki, ale i z sensem własnego pisarstwa, własnego powołania artystycznego. Dotychczas krytycy — ja także — ujmowali to połączenie na płaszczyźnie niejako domniemanych (bo, ostatecznie, niezarejestrowanych wyraźnie w żadnym utworze) danych autobiograficznych Rudnickiego. „Złote okna” pokazują, że naprawdę jest inaczej, że poeta, pisarz, bywa się nie tylko w literaturze... ale i w życiu. Żałować należy, że tak wnikliwy krytyk, jakim jest Konrad Eber-

hardt, nie zastanowił się, dla czego o Marek Karmański został przez Rudnickiego nazwany poetą? Niewątpliwie, przy pewnym naciąganiu interpretacji, można by nazwać Marka poetą żywego słowa, bo przecież tak pięknie (co zachwyciło Józefa Klona) mówił o sprawach życia i śmierci. Ale nie o to Rudnickiemu chodziło. Poeta — zdają się mówić „Złote okna” — jest każdy człowiek, który w jakiś sposób tworzy dla ludzi, który daje lub pragnie dawać myśli, słowa, uczynki im potrzebne. Tak samo jak — wskazał na to przecież Eberhardt — żadna śmierć ludzka, choćby najbardziej samotna, nie jest innym obojętną i bezwartościową — podobnie i dzieło, czyn (w najbardziej szerokim sensie) jest dla innych cenny albo nikczemny, ale zawsze w jakiś sposób wartościowy. Na Marku Karmańskim powtarza Rudnicki w swoisty sposób proces „Kartki znalezionej pod murem straceń”: proces oskarżenia twórczości, życia, które nie dorosły do miana w pełni ludzkiego życia i twórczości. Zresztą słowo: oskarżenie grzyża w mowie o Rudnickim jakimś fałszywym, nieprawdziwym patosem. Autor „Żywego i martwego morza” nie tyle oskarża, co docieka, wyjaśnia i ocenia, dlaczego jedne życia i czyny są warte dobrego zapisania w pamięci ludzkiej, a inne — nie. Rudnicki nie jest destrukcyjnym satyrykiem — ale konstruktywnym moralistą. I właśnie „Złote okna”, właśnie nazwanie Marka Karmańskiego poetą — otwiera szerokie horyzonty na to, co pisarz mówił dotąd o etyce, o moralnej cenie twórczości i działalności artysty. Jest w tym stwierdzeniu jakiś dobry, wartościowy wstrząs dla czytelników i miłośników prozy Rudnickiego. Każda kartka tej prozy poświęcona pozornie bardzo osobistemu borykaniu się pisarza z sensem i wartością własnego życia i własnej pracy — jest napisana dla nas wszystkich, tych, którzy nie chcą przejść przez to życie jak obojętny przechodzień, lub odejść z niego jak ów syty biesiadnik z satyry Horacego Marek Karmański jest wstrząsającym wariantem „Judasza” Ro-

stworowskiego, który nie potrafił podnieść przyjętego na siebie ciężaru życia i który w decydującej chwili zaprzagnął uciec do swojego sklepika, zaprzagnął przekreślić udział swojego istnienia w wielkim nurcie historii. Nazwanie Marka Karmańskiego poetą jest zatem wskazaniem na niepowtarzalną cenę i wartość każdego ludzkiego uczynku, podobnie jak niepowtarzalny jest każdy choćby najmniejszy utwór literacki, każdy, choćby najgorszy poeta.

Dlatego nie mogę się zgodzić z Eberhardtem, że „Adolf Rudnicki jest pisarzem o dość jednolitym obliczu i nawet data 1939 roku nie jest w jego twórczości aż rewolucją czy przełomem, przynosi tylko nowy, obrzydliwy materiał tematyczny, obserwacyjny, pogłębia problematykę moralną jego noweliści.” To pogłębienie jest przełomem, jest ogromnym krokiem naprzód w rekonstrukcji spraw ludzkiej, jest dodaniem ogromnej ilości ludzkiego ciepła i serdeczności w spojrzeniu na drugiego człowieka. Więcej: „Złote okna” wykazują dobitnie, że zamknięcie się Rudnickiego w opisie tragedii Żydów polskich lat 1939-45 nie było skutkiem jakiegos psychicznego kompleksu czy urazu „zarażenia śmiercią”. Przez dzieje właśnie tego narodu, tak tragicznie sumujące w sobie ból i cierpienie ludzkości w czasie ubiegłej wojny — chciał Rudnicki niewątpliwie naszkicować wielką próbę, na jaką była narażona ludzka godność i wartość wielu z nas. Sprawa Marka Karmańskiego, przetrzymująca pomost między sprzecznością człowieka i pisarza, pokazująca, że w pisarzu — żne jest również przede wszystkim człowieczeństwo — jest sprawą (właśnie dlatego) jak najbardziej żywą i współczesną. Próba historii nie skończyła się bowiem — odczytać to możemy w twórczości Rudnickiego! — z 1945 roku, życie każdego z nas jest nadal na nią wystawione, chociaż w innych sytuacjach i okolicznościach. I w tym, że pisarstwo Rudnickiego wskazuje nam nieustannie na miejsce w historii, miejsce po stronie prawdy, piękna i (czyż to nie jest to samo!) człowieczeństwa — leży jego największa wartość.

Zbigniew Pędziński



rys. Zofia Trzebińska

Przysięga na wierność

(Dokończenie ze str. 5)

któ przeschodził. Toteż Sewer kontemplował samotnie swoje stare buty i nasiąkłą porannym jeszcze błotem podłogę. Znany zapasek ni to koszar, ni to klasztoru emanował z patynowych murów, z zaciekłego mętnym światłem stropu, ze szczelin w podłodze i z podwójnych drzwi, za którymi przyjmował profesor - blyskawica. Był to zapasek stęchły, stęzający, oczadczający. Ale na pewno nie katakumbowy, jak tego niegdyś chciał zagubiony norwidolog — kolega-staryś. Katakumby bowiem, jak miał Sewer, pachniały czerstwo i zdrowo, ponieważ zebrani tam ludzie dawnymi czasy zwykli byli przełamywać się chlebem... Przebiegł obok kilku studentów, organizujących wiec na cześć Świątowej Federacji Młodzieży, gestykulując i pozdrawiając mimochodem Sewera. Podłoga pod ich mocnymi stopami zachybotała jak trawę. Powiało ś w i e z o ś c i a tytoniu i zapachu spocznego koszul. Za nimi nadbiegła porządkująca włosy młodzieńca studentka. Zatrzymała się przed Sewerem. „Kolego, dziś o siódmej w auli...”. Wiem, wiem — powiedział uśmiechając się nad jej rozwianą czupryną i myśląc, że teraz właśnie, już po wszystkim, bierze się go jeszcze za studenta. Dziewczyna widząc, że i Sewer cieszy się z nadejścia nowych czasów, również się uśmiechnęła pokazując drobne ząbki, nie poplamione szminką jak zęby dawnych koleżanek. Gdy pobiegła dalej, tratwa tylko leciutko pod nią zakrzypiała. I znów było sędziwie i cicho. Tak sędziwie, aż Sewerowi zrobiło się żal Zbyszka, że go zastawił w złości i samotnego, i zamkniętego w borsuczej jamie. Zdałowa mu się, że zza podwójnych drzwi ktoś wyjrzał, sięgnął więc w zanadrze po złożony w czworo apel. Ponieważ jednak nikt z pokoju nie wyszedł, pomyślał, że mu się przywidziało. Z nudów zaczął studiować kilkanaście profesorskich podpisów, złożonych pod apelem — płon całodziejną bieganiny i krótkich, pospiecznych rozmów. Wszystkie kruczki logografów zdążyły mu się zawodne, gdyż ci z profesorów, których znał jako cichych, skromnych i opowianych, mieli podpisy rzutkie acz zawile, natomiast energiczni, krewcy i zdecydowani kładli swoje nazwiska starannym, wstydliwym piśmem. Nieraz za każdym z nich stała katedra i kilka książek. Trzech czy czterech osiwiło w pracy pedagogicznej, inni dopiero siwili. Kilku nosiło sutanny, ale wszyscy byli

katolikami. Sewer uśmiechnął się, gdyż żaden logograf tego by nie odczytał. Nawet Zbyszek, który od czasu do czasu wrożył z ręki i dotąd nie umiał określić swego losu. Drzwi skrzypnęły pozwalając się wycofać z pokoju opasłym dziewczęciem, całemu w rumieńcach i w dygach. Sewer zmiarkował, że b ł y s k a w i c a jest w dobrym humorze, co go trochę podniosło na duchu. Jakkolwiek dziewczę uspokoiwszy nogi, zmierzycyło wyniosłe zimnym spojrzeniem. Sewer minął je i dierząc apel w dłoń wszedł do pokoju.

Profesor błyskiem zębów uciął mu drogę tuż przy drzwiach. Sam siedział z paltem na ramionach, w niszy u okna wykutego na uniwersytecki dziedziniec, gdzie w trawie wycięto wielki krzyż, po którym w tej chwili nikt prócz wron nie spacerował. Siedział zgarbiony, pod ostrołukami sklepionej celi, z ocenioną twarzą przeciętą tylko błyskawicą i szparkami oczu penetrujących twarz Sewera wydaną na blask okny.

Sewer poczuł się nieswojo i sięgnął do kieszeni po papierosa. Profesor nie odczytawszy tego gestu, powiedział: — Nie trzeba. Wiem, z czym pan przychodzi.

— Nnnie rozumiem — wymamrotał Sewer.

— No, nie potrzebuje pan szukać po kieszeniach tego... apelu.

Sewer do reszty zbaraniały mruknął: — Apeli? Przecież mam go w ręce.

— No więc, niech go pan dalej trzyma przy sobie.

Sewer pozwolił papierośnicy opaść na dno kieszeni i przeciągnął sponą dionią po twarzy. Profesor znów sięgnął mu po krzyżach uśmiechem.

— Z pańskich rąk nie przyjmę niczego.

Sewer przestępując z nogi na nogę i masując brodę, spytał: — Czemu, panie profesorze?

Ze szperek spłynęło czymś zimnym, bezwzględnym, Odrzą.

— Po pańskim paszkwiłu na uniwersytecie?

Sewer poruszył się, sprężył nogi, ale stał w miejscu przycięty uśmiechem.

— Nie rozumiem... Czy chce pan przez to powiedzieć... panie profesorze, że czytał pan... mój artykuł?

— Nie. Nie miałem przykości... Opowiadano mi. Wystarczy. Ci, co czytali. Opinia społeczna jest przeciwko panu.

Z krzyża na dziedzińcu zerwały się z wrzaskiem wrony trzeczając w kółko rozkrzeszaną gromadą. Tak, jakby coś niewroniego wpadło pomiędzy nie.

— Społeczna czy raczej... środowiskowa? — spytał Sewer, masując z kolei policzek.

— Czy nie wszystko jedno?

— Wydaje mi się, że nie — powiedział Sewer. I nagle parując cięcie uśmiechu spod okna, rzekł: — Ale to nie ma nic do rzeczy, przychodzę, jak pan profesor wie, z apelem, i proszę, aby pan złożył swój podpis. Tekst zatwierdził rektor. Jest to apel przeciwko wojnie i stosowaniu broi...

Tym razem nie sparował uśmiechu.

— Niech się pan nie trudzi — powiedział profesor. — Żeby rozmawiać w takich sprawach, trzeba mieć zawsze ręce c z y s t e.

Sewer czuł, jak mu krew uderza na policzki. Od karku aż po łopatki śwędział go spływający

pot. Zagryzł usta. Wydało mu się, że gdzieś coś takiego slyszal, że gdzieś kiedyś coś takiego przyżył, ale nie pamiętał, kiedy i gdzie. Czyste ręce i brudne ręce. Skądś to znał, skądś to jakoś pamiętał. Ocierając twarz dionią i podnosząc oczy mówił ku łukom ostrego sklepienia:

— Proszę mnie uważać za zwykłe narzędzie. Za kogos z ulicy, kto przyszedł i mówi: jeśli ludzie pomoga, im powinien spłonąć dom. Dom, który jest ważniejszy niż człowiek, co przyszedł i mówi.

Patrzac w sklepienie nie musiał parować cięć.

— Nie widzę rozdziału — powiedział profesor — między postawą publicysty a społecznika. Nie widzę rozdziału między tym, co się pisze, a tym, co się robi.

Sewer wrócił na ziemię. Przystąpił do drzwi, przez chwilę zmagając się ze wzrokiem profesora.

— Ja też nie widzę — powiedział.

— Więc niech się pan odpowiednio zachowa. Za moich czasów przed odejściem składało się uniwersytetowi przysięgę n a w i e r n o ś ć. Ze nigdy się nie zbezcześnia pamięci Almae Matris. A pan ledwie odszedł, zaraz uniwersytet... oszkałował. Więc niech pan wyciągnie z tego konsekwencje.

— To znaczy? — spytał Sewer ocierając twarz drzącą dionią.

— To znaczy, że kto publicznie pozwala sobie na napaść, niech ma odwagę publicznie tę napaść odwołać!

Sewer postąpił naprzód. Krok. Dwa.

— Na litosć Boską — szepnął — na litosć Boską... Przecież ja wierzę w to, co piszę...

— No, jeśli tak... — powiedział profesor. Wstał i przestąpił sobą szeroki krzyż na dziedzińcu, który leżał wycięty w trawie. Wystające kości policzkowe i zapadłe jamy, w których oczka zniknęły niemal, i usta napięte odsłaniające szczękę pełne jeszcze zębów — formowały jego ocenioną twarz. Tylko nad włosami przywartymi do skroni krążyły kregiem, kregiem wrony. Kruki. Bez ustanku. Bez ustanku.

...Aż Sewerowi wydało się, że to wszystko jest minione. Że jakoś jest już poza nim. Że oto spadła pieczęć na księgę, której nikt nie utworzył, bo karty w niej zbudowały, zapelnione wiedzą o alchemii, która już nikomu na nic się nie przyda. Ujął kłamek i tak cicho wszedł z pokoju, jak z celi nawiedzanej przez śmierć.

Jerzy Krzysztów

PAX

L. Buczkowski CZARNY POTOK str. 237 Cena zł 18.

A. J. Cronin CYTADELA str. 238 Cena zł 25.

W. Chytlek SPLATANE KORZENIE str. 184 Cena zł 16.

J. Dobraczyński DRZEWA CHODZĄCE str. 244 Cena zł 20.

J. Krzysztów OPOWIADANIA INDIJSKIE str. 216 Cena zł 15.

A. Lepkowski LUDZIE ZNAD ZATOKI str. 199 Cena zł 15.

D. Peczall ULICZKA NOTRE-DAME str. 170 Cena zł 12.

Z. Skierski JEMIOŁA DOJRZEWA str. 323 Cena zł 25.

S. Undset OLAF SYN AUDUNA t. I/II str. 484-490 Cena zł 50.

S. Undset KRYSZYNA CORIKA LAVRANSA t. I/III str. 276+403+425 Cena zł 80.

M. Żurawie CIERPKI WINOGRONA str. 336 Cena zł 20.

Wysła Biuro Sprzedaży „Pax” Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa 1-14-14037 Sp. Wyd. „Pax” — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczyć zł 3 na koszt przesyłki. Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu”.

WYSTAWA MŁODYCH I STARYCH



Ugo Attardi: Chłop inwalida (Włochy)

CHYBA nigdy jeszcze w historii sztuki nie ulegała tak wielkim przeobrażeniom, jak w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Nieprawdopodobna różnorodność kierunków, nieprawdopodobna subiektywizacja, ogromna rozmaitość indywidualnego patrzenia na rzeczywistość, lub indywidualnej ucieczki od rzeczywistości — pod tym względem wiek XX jest bezkonkurencyjny. Malarze zaczęli babrać się w swoich wnętrznościach, sprzedawać własne sny, chodzić na rękach, bawić się w mistyfikację — wszystko po to, aby własne „ja”, wyrażenie własnej osobowości uczynić bardziej frapujące, bardziej niezwykłe. Na szczęście mistyfikatory stanowili — bardzo zresztą szeroki — margines głównego nurtu. Trzon malarstwa — szkoła paryska — mimo pozornie na siłę robionej ekstrawagancji przeprowadziła malarstwo poprzez ten trudny okres zachowując odkrywcość, świeżość i zdrowie sztuki. Picasso czy Leger dobili do drugiego brzoźgu. Przewycięzając chorobliwy subiektywizm, a zarazem bynajmniej nie tracąc swojej odrębności i indywidualności — stali się twórcami ściśle związanymi ze społeczeństwem i rzeczywistością.

Zadnego zjawiska w malarstwie ostatnich dziesięcioleci nie można separować od tego, co działo się w Paryżu. Malarstwo paryskie jest odnośnikiem. Było wzorem, źródłem naśladowców i inspiracji dla zwolenników, a zarazem najdobitniejszym wyrazem wartości, które dla jego wrogów wydawały się wsteczne i zakazane. Jego wyrażenie budziło automatycznie prostotę, brutalność i szorstkość ludzi, widzących w sztuce odmienne cele.

Odmienne cele sztuki: masowy charakter, społeczne oddziaływanie, upolitycznienie, szukanie tematów w konkretnych społecznych zjawiskach, chęć wpływania na te zjawiska — to były pragnienia sprzeczne z powszechnie panującymi tendencjami świata artystycznego. Przeskok do treści i komunikatywnej formy musiał być bezkompromisowy. Malarze Meksyku, Italii czy Francji zaczęli eksperymentować. Ich próby były ciekawe, dramatyczne dla widza, który był dotych-

czasowym odbiorcą sztuki. Obrazy Kandynskiego mogły szokować niewyrównanego widza — oni szokowali wyrafinowanych. Ten charakter, który jest źródłem wielu nieporozumień w interpretacji tego rodzaju malarstwa, sprawia, że smakosze, albo po prostu ludzie przyzwyczajeni do solidnej, precyzyjnej sztuki — tak często pogardliwie się o tym malarstwie wyrażają. Jeśli nie widzą w nim wartości, które utożsamiają ze sztuką, niech przynajmniej uszanują jego wysiłek budowania malarstwa na nowych zasadach. Jeżeli się nie zgadzają z jego szlachetną, polityczną treścią — niech wiedzą, że własnie przeciwko nim to malarstwo jest skierowane.

Wyduje się zresztą, że etap tej

anty-estetycznej formy tak wyraźnie widoczny w obrazach włoskich — to pierwszy etap tego rodzaju malarstwa. Przyszłość malarstwa może leżeć jedynie w syntezie społecznych zamierzeń z najwyższymi dotychczasowymi osiągnięciami formalnymi. Guernica albo „Wojna i Pokój” Picassa, czy malowidła Ormsca, to pierwsze wielkie kroki w kierunku tej syntezy. Ta sztuka przyszłości przeżywa jeszcze okres wczesnej młodości, jeżeli nie niemowlęctwa.

Wszystko co nowe jest surowe, chropowate i ostre — często naiwne i nieudolne. Wszystko co nowe nie jest „ładne”. Posiada inny gatunek piękna bardziej dramatycznego i mocnego. Posiada przede wszystkim siłę i dynamikę. Porównując filmy „Ciemna rzeka”, „Sól ziemi”, wczesne filmy włoskie, z np. „Komediantami” Carne’go, czy przy całym ogromnym pięknie „Komediantów” nie odnosi się wrażenia zupełnej niewspółmierności. Siła tamtych filmów jest brutalna i surowa, ale urzekająca; tu ogromna kultura i wyrafinowanie urzeka również, ale jest apoleozą melancholii, smutku i słabości — wartości bynajmniej nie konstruktywnych, i mało społecznych w okresie wielkich przemian.

Osobny problem tego okresu, to sprawa wyrażenia treści i ideologii środkami najłatwiejszymi, najbardziej umownymi; zaprzepaszczenie sztuki na korzyść masowego oddziaływania. To problem najbardziej może drastyczny. Doskonale przykład mieliśmy u nas i od roku obserwujemy przeobrażenia sztuki w kierunku pełnej syntezy formy z treścią, w kierunku sztuki w pełnym tego słowa znaczeniu. Akademicki warsztat nadaje się do wyrażania wszelkiej treści, jest wszechstronny i kosmopolityczny, nie ma przy tym nic wspólnego z twórczością. Naturalizm, to królestwo malarzy, którzy mają ogromną łatwość oddziaływania na płótnie ludzi przedmiotów. Ta zgrzeszona i łatwota często jest cechą wielu miernot, które brak instynktu artystycznego wypełniają nadmiarem malpiej uśmiechniętych bezmyślnego kopiowania. Te miernoty, które w oczach laików wydają się wielkimi artystami, to największe niebezpieczeństwo nowej sztuki; niebezpieczeń-

stwo, które u nas już przynajmniej częściowo zażegnujemy.

W Zachęcie otwarto Międzynarodową Wystawę Sztuki Młodych. Ci plastycy, nie zawsze są młodzi wiekiem, nie zawsze młoda i nowa jest forma ich obrazów; nie zawsze młoda ideologia. Wystawione obrazy, rzeźby i grafiki obejmują najrozmaitsze tendencje, kierunki i techniki malarskie od abstrakcjonizmu do naturalizmu. Wystawa jest bardzo różnorodna, ale prac naprawdę ciekawych jest bardzo niewiele. Wina jest tu dość przypadkowy dobór eksponatów, z których wiele stoi na dość miernym poziomie artystycznym.

Spośród państw demokracji ludowej najciekawsza stosunkowo jest sekcja polska. O ile można było mieć wiele zastrzeżeń oglądając prace zebrane razem na wystawie konkursowej, tu na tle scen rodzajowych z Rumunii albo Czech — mają większe walory malarskie. Wydaje się, że pod tym względem wyprzedziliśmy poważnie naszych sąsiadów, którzy tkwią jeszcze w konwencjach znanych u nas sprzed dwu i więcej lat. Nadmierna i bardzo literacka psychologizacja przy akademickim warsztacie nie dopomaga w uzyskaniu dobrych wyników malarskich.

Z państw zachodnich najmocniej obsadzony jest ośrodek włoski. Neorealizm włoski rozwija się wprawdzie dość jednokierunkowo. W malarstwie jak i w grafice — prace mają zbliżony do siebie charakter. To właśnie jednak sprawia, że Włosi są na wystawie grupą, która odznacza się najbardziej narodową odrębnością (czego nie można powiedzieć o malarzach innych krajów przynajmniej na podstawie tych nielicznych prac w Zachęcie; trudno zresztą na ich podstawie wysnuwać jakieś ogólniejsze wnioski). Zaletą włoskiego malarstwa jest to, że przy bardzo niekiedy dramatycznym realizmie unika akademizmu, w zasadzie unika naturalizmu (przynajmniej w warsztacie malarskim — nie w treści). Przy całym demonstracyjnym odcięciu się od wpływów szkoły paryskiej, przy odżegnywaniu się od „ładności”, od wysmakowanej formy i koloru — Włosi wnoszą do sztuki jakieś bardzo specyficzne nowe malarskie wartości. Wielki obraz przedstawia-

jący rozstrzelanie, zdecydowanie realistyczny i komunikatywny, posiada fragmenty dość drobniagowo opracowane — bliższe są one jednak surrealizmu niż naturalizmu. Obraz, który nie ma nic wspólnego z tym, co krytycy nazywają malarskim pięknem, posiada jakąś odrębną, drażniącą ale ciekawą gamę koloru i tak jak inne prace włoskie pewien ładunek, o którym mówi się: „w tym coś jest”. Polityczne zaangażowanie, odrębność formy, zaangażowanie oraz godna podziwu konsekwencja i upór z jakim Włosi kontynuują swoją bardzo narodową sztukę — każe znaleźć dla ich malarstwa nowe kryteria bliższe sztuce meksykańskiej niż europejskiej.

O ile sztuka włoska wyodrębniła się spośród innych prac na wystawie, to kraje skandynawskie — Szwecja i Norwegia — pokazują obrazy utrzymane w konwencji paryskiego malarstwa. Wpływy Picassa i młodszych francuskich malarzy są dość jaskrawe, tak jak jaskrawe były w litografiach na zesłotocznej Międzynarodowej Wystawie Grafiki. Prace skandynawskie należą mimo to — a właściwie dzięki temu — do ciekawszych i niestety muszą zastąpić brak oryginalnych francuskich obrazów; Francja nie bierze udziału w wystawie.*

Z krajów pozaeuropejskich bardzo ciekawa jest Japonia, mimo że również poważnie sfrancuziała. Kompozycja Paori Akutagawa: „Bomba atomowa” — odważna i dramatyczna jest jednym z najwybitniejszych eksponatów wystawy (otrzymała Nagrodę Pokoju).

Bardzo odrębną grupę stanowi południowo - amerykańska grafika (Urugwaj, Brazylia, Meksyk). Punkt wyjścia stanowi tu z pewnością grafika meksykańska i pewne jej elementy, podchwyczone i przetworzone przez plastyków innych krajów Ameryki Łacińskiej, można odnaleźć w ich pracach. Hiszpański cykl „Terror frankistowski” — wyrazisty, interesujący plastycznie — w sobie pasję obrazów Picassa.

Niestety tej pasji i tego poziomu artystycznego jest na wystawie za mało.

Jerzy Olkiewicz

* Dopiero w sobotę wieczorem przywieziono obrazy francuskich malarzy.



Paori Akutagawa: Bomba atomowa (Japonia)

GDYBYM sam nawet przeczytał ten tytuł — w pierwszej chwili wziębam go za prowokację. Prowokacja nabiera jeszcze większej ostrości z chwilą wyjścia ze stadionu Dziesięciolecia, po gigantycznej urwczystości otwarcia festiwalu, po wieczornych spacerach ulicami przelkanymi tanecznym korowodem. Ale jej ostrość błędnie niepomniernie już w mroku kirowej sali, a cefknie rozpraszają ostatnie wątpliwości. Skrócony znak zapytania drażni niepokojąco. Tak się złożyło, że na ekranach festiwalowych jednego dnia grane były dwa filmy o młodziźnie: „Dzieci ulicy” de Siki i „Przed potopem” Cayatta i w ramach tych dwu seansów zamknalem wieczorne refleksje. W refleksje te wplecione jest mały watek osobisty: „Dzieci ulicy” — były pierwszym filmem, z którym spotkało się recenzentkie pióro. Pamiętam, że w tym petiowym kawałku utkniętym gdzieś w rogu dodatku w „W młodych oczach” było wiele gorących słów, dużo emocjonalnego uniesienia i kilka pytańkow usiłujących znaleźć jakiś pomost do sytuacji naszej młodziżi i jej problemów. Od tego czasu — a jest to już 6 czy 7 lat — towarzyszyłem premierom i „Gdzieś w Europie”, i „Piątce z ulicy Barskiej”, i „Jutro będzie za późno”, a teraz bwiem na „Przed potopem”. Widziałem jeszcze tu i ówdzie „Zapomnianych” Bunuela, „Wiosnę” Castellaniego, „Stracona młodziż” Gerniego „Zwycięzcy” Antonioniego, „Cielece lata” Felli-

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Młodziż zapomniana

nego i zapewniam, że to już jest wszystko, co stworzył ciekawego świat o młodziżi w latach po drugiej wojnie. Świat, który produkuje około 2 tysiące filmów rocznie. Wiem, że szperacze dorzucą mi jeszcze około setki tytułów typu „Zalóg” i „Trzecich licealnych” — ale nie chcę w tej chwili pisać o fikcjach. Kina nie są już tylko „Gospoda ubogich, którym dzień spłynął źle”. Młodziż, która cisnie się dziś do sal kinowych i która stanowi najbardziej zapalną część widowni, bardzo rzadko ogląda siebie na białej płaszczyźnie okolonej ramy ekranu. Do wspomnianej już setki można dorzucić jeszcze trochę tytułów i tworzą one łącznie grupę pod szumną nazwą filmów o młodziżi i dla młodziżi. Jeśli jest między tymi dwoma rodzajami filmów jakaś różnica, to ta, że choć o młodziżi prawie nie nie powiedziano, jest w tym trochę treści z życia, natomiast dla młodziżi stworzono serię bajek, niewiele różniących się od tych dla małych dzieci.

„Cnymi latami prasę, literaturę, teatru i filmy — pisze w Niebieskich kartkach Adolf Rudnicki — wypełniaty powiastki dla grzesznych chłopców i cnotliwych dziewcząt. Dziewczatom i chłopcom, którzy dorastali wśród nieustannych kataklizmów, wśród trzęsienia ziemi, kiedy wytwarza się moralność trzęsienia ziemi: — życie dniem dzisiejszym, tym dziewczętom i chłopcom oczekującym każdego dnia sądu ostatecznego”, dostarczone sztuki podobnej do tej, jaką babcia wynajduje dla swego wnuczka. W re-ultacie od kilku miesięcy rozlega się terc w prasie krzyk o kulturalnym upadku moralności, o chuliganstwie, o norderstwach popełnianych nie wiadomo z jakich powodów. Życie, okazało się, nie wzięło pod uwagę nagrodzonych księgiek i nie chciało się ułożyć według nich. Nie pochwycone przez sztukę prawdziwe problemy dnia nie zniknęły, przeciwnie — nie oczyszczone przybrały na pomnożeniu i grozie”.

Dyskusje o młodziżi nurtują dziś cały świat, społeczeństwa wszystkich kontynentów, sprawa stała się popularna do tego stopnia, że nazwano ją problemem XX wieku — ale jednocześnie problem ten jest niemal czystą kartą w historii kinematografii; niewiele wieciec osiągnęły mają inne sztuki. O przyczynach tych, bardzo lapidarnie pisze Zavattini w swoim li-

kojenia. Nasza „Piątka” powstała w kilka lat później, dawała terapię, ale leżała już poza linią historycznych przeobrażeń świata. Można wprawdzie per analogiam doszukiwać się jakichś metod, ukrytych pod licznaniem jakiejś radości — ale to nie rozwiązuje problemu indyferentyzmu i moralnego rozprężenia. Obcy jest dziś nam strach młodziżi z „Przed potopem”, która chce uciekać na bezludne wyspy — ale musimy przyznać że daleka jest nam także odwaga i polemiczna pasja Cayatta.

Psychoza wojny, wynaturzona cywilizacja, która wpływa na rozpasanie młodziżi, sadyzm i erotyzm — to problemy, które nie stanowią zwrotników punktów naszego młodego pokolenia. Ale jakie są wobec tego te punkty? Jak je mamy rozwiązywać, skoro nie mamy nawet objawów rozpoznawczych? Mnóżą się tragiczne wypadki, strach kryje w ciemnej ulicy, słowo „chuligan” jest jednym z najczęściej używanych terminów leksykalnych, reportażyści przeciągają się w opisywaniu coraz bardziej napiętych problemów — a sztuka milczy.

Kiedy wychodziłem z kina na rozlanony młodziżką plac, wydało mi się, że jeśli sztuka uchyla się od odpowiedzi na te zasadnicze problemy — to nie mamy prawa uczestniczyć w tanecznym kole.

Andrzej Odolański

„Chcę, aby ze mna poszli: górnik, dziewczyna, adwokat i marynarz i także ten, który lubi laiki, byśmy poszli do kina i wyszli stamtąd by pięć nacierzeliśmy wino” (P. Neruda: „Niech się zoudzi drwali”).

RAGNIENIE filmu powzeczego, prostego, radosnego przewialo się jasną nia przeystapienia młodych filmowców-uczestników filmowego spotkania festiwalowego. Mówili o tym z jednej strony przedstawiciele Japonii, Włoch, krajów Ameryki Południowej czy Francji, a z drugiej przedstawiciele ludowych kinematografii.

Znamienne było oświadczenie młodego filmowca japońskiego, który podawał przykłady, że szereg postępowych filmów japońskich, niedłokrotnie uznanych przez krytykę za wybitne, spotkało się z bardzo znanym przyjęciem prostej publiczności. Przyczyną tego była zbyt pesymistyczna wymowa tych filmów. Publiczność japońska — zdając sobie niejednokrotnie sprawę z tego — odrzuca wspomniane filmy nie dlatego, że mówią one nieprawdę, ale że i w tak już pesymistycznym życiu chce odnaleźć perspektywę radosniejszej przyszłości, aby z tej ponurej otoki nedy, jakim jest spowitłe życie szarego człowieka, wydobyć okrucy tego, co pozwala nam nie zamykać się w najbardziej przykrych momentach, pozwala wierzyć, że po nocny przychodzi zawsze wschód słońca. Oczywiście, nie można wpaść tu w przesadę, gdyż prowadził to bezpośrednio do tworzenia mirażu i odrealnienia rzeczywistości, nieobcego nam z wzorów kapitalistycznej produkcji.

W dużej mierze kontynuacja tej wypowiedzi było także wystąpienie włoskiego krytyka Argentineri, który poprzez ciekawą analizę współczesnej produkcji włoskiej wykazywał, że ideałem filmowego bohatera jest człowiek czynu, a nie człowiek — ofiara kapitalistycznego układu stosunków społecznych. Chodzi nam przecież o to, by świat zmienił — a nie być tylko obserwatorami tego smętnego widowia. Postawa obserwatorów zbyt często kojarzy się jeszcze z pojęciem turystów na ruinach Pompei. Jeżeli chcemy filmem walczyć o lepszy świat — to przede wszystkim musza to czynić bohaterowie filmów. Widzowie wierząc w nich, w ich ideaty i nadzieje, będą ustlawał skonfrontować ich czyny z własnym doświadczeniem życiowym i wtedy nie trudno się domyśleć, że znajdują się na którymś z odcinków walki wniezionej z ciemności sil w matnię ulie społecznej rzeczywistości. Najwybitniejszą filmową ostateczną lat ukazywały, jak choćby w wypadku „Umberto D”, rozkład kapitalistycznego społeczeństwa. W filmach tych nie było jednak elementów konstruktywnych, które afirmowałyby działalność nowych sil społecznych. Patrząc na lud w wielu filmach włoskich, można się oprzeć wrażeniu, że jest on ukazany z punktu widzenia turystów, protekcyjnie poklepanywany. (Pewnym zaskoczeniem było tak dia nas, jak i obokrajowców, że wiele z tych ostatnich zarzutów skierował Argentineri pod adresem filmu „Nadziej za dwa grosze”).

O tym, że większość postępowych filmów realizowanych obecnie w krajach kapitalistycznych podejmuje rozprawę z rzeczywistością współczesną z pozycji XIX-wiecznego realizmu, mówił także delegat peruwiański Alfredo Battilany. Jako jeden z przykładów filmu, który ukazuje działalność swoich bohaterów z pozycji współczesnych, afirmujących nowe siły społeczne — w budownictwie życia — w przeciwnieństwie do tych filmów, które zajmują się tylko krytyką starego społeczeństwa — podał Battilany „Nadbudowy”, tzn. ustalenia zasadniczego kierunku jego działania i cech światopoglądowych, była przeprowadzona przez członków seminarium w sposób jedomyślny — o tyle problem jego konkretyzacji filmowej spotkał się z dużą różnorodnością poglądów.

Przedstawiciel studentów Afryki Zachodniej, Jim Koyinde Vaughan, mówił m. in., że stworzenie żywej postaci bohatera na ekranie wymaga ukazywania go w centralnych konfliktach jego czasu i jego kraju, że konflikty te rozwiązać trzeba poprzez czynny filmowego bohatera. Przedstawiciel Belgii polemizował z tymi, którzy chcieli by bohatera filmowego robić według jednej pozytywnej recepty. Zwracał on uwagę na konieczność użycia w filmie poetyckich metafor, budowania filmów według różnorodnych koncepcji stylizacyjnych.

Interesujące tezy wywnosił także młody reżyser polski, twórca „Pokolenia” Andrzej Wayda. Mówił, że trzeba otrząsnąć się z drobniagowego XIX-wiecznego realizmu, że współczesnemu widzowi nie trzeba dawać odpowiedzi tylko na nekające problemy matrymonialne czy zawodowe, ale pokazać także jego miejsce w świecie współczesnym. Wskazywał również na potrzebę zwiększenia ładunku intelektualnego naszych filmów i włączenia ich w wielkie polemiki filozoficzne, jakie wstrząsają naszą współczesnością.

Dość charakterystyczną cechą wystąpienia delegatów państw kapitalistycznych była uwaga, jaką poświęcali oni sprawie widza. Ujawniło to w sposób dość oczywisty, jak duża wagę przywiązuja oni do sprawy publiczności i przyjęcia przez nią filmu. W ich pojęciu film jest sztuką najbardziej agitacyjną. Przedstawiciele młodych filmowców francuskich zwracali np. uwagę, że w filmach, jakie realizują oni o V Festiwalu, starają się wyrazić jak najbardziej osobiste ich opinie o tym zgrupowaniu młodziżi. Tylko bowiem w ten sposób można była zaangażować — drogą osobistych skojarzeń uczuciowych, a nie jakimś wyabstrahowanym protokołem filmowym. „Nie wolno zapominać, że są dwaj filmowi bohaterowie naszych czasów: ten na ekranie i ten na sali” — mówił przedstawiciel Indii.

Obok tej troski o widza, w wystąpieniach delegatów zagranicznych mocno przebiegła nuta troski o narodowy charakter filmu. Postępowość, która jest w większości synonimem narodowych cech kultury poszczególnych krajów, nie ma niekiedy względów u cenzorów. Dziślatki i setki zamietanych cenzorów, a nawet gotowych filmów nie dotarły nigdy do widza. Waskie gardła cenzuralnych nożyc dawały najbardziej twórcze pomysły. Walka o artystyczną swobodę bardzo często utożsamia się z walką o osobistą godność. Te osobiste zwycięstwa zawiędzonych młodziżczych planów przemawiały z trybuny spotkania z silą, z jaką nie są zdolne przemawiać najbardziej udukiemmentowane artykuły o szczykach cenzuralnych.

W dyskusji padły projekty, ażeby dla doskonalenia rzemiosła młodych filmowców, zwłaszcza z krajów nie posiadających własnych kinematografii, jak np. kraje kolonialne, utworzono praktyki w krajach obozu pokoju. Zastanowiono również, że realizowanym zostanie film o życiu młodziżi, przy którym pracowaliby młodzi filmowcy z różnych krajów.

Jerzy Mankiewicz